

**STEPHEN  
KING**



**ROK WILKOŁAKA**

*Prószyński i S-ka*

# Stephen King

## Rok wilko łaka

Przełożyła Paulina Braiter

Rok wydania oryginalnego: 1983

Rok wydania polskiego: 2004

*Pamięci Davisa Grubba  
i wszystkich głosów Glorii*

W cuchnącej ciemności pod stodołą  
uniósł kudłatą głowę. Jego żółte, tępe oczy rozbłysły.  
- Czuję głód - szepnął.

Henry Ellender

*The Wolf*

Trzydzieści dni ma wrzesień ,  
listopad, czerwiec i kwiecień ,  
a prócz lutego inne  
o jeden dłuższe są.  
Czy w deszczu, czy to w śniegu,  
upale, chłodzie, przebóg,  
w każdym miesiącu pełni  
księżyc rośnie krąg.

Wierszyk dziecięcy

## STYCZEŃ

Gdzieś w górze świeci księżyc, krągły, tłusty, pełny, lecz tu, w Tarker' s Mills, styczniowa zamieć przysłoniła niebo śniegiem. Wiatr pędzi z rykiem opuszczoną Center Avenue; pomarań czowe miejskie pługi już dawno zrezygnowały z nierównej walki.

Arnie Westrum, dróżnik w GS&WM, tkwi uwięziony w małej budce sygnałowo-narzędziowej dziewięć mil za miastem; ponieważ niewielka benzynowa drezyna ugrzęzła w zaspach, Arnie przeczekuje śnieżycę, układając na stole pasjansa „ Ostatni odpada” wytłuszczoną talią kart. Na zewnątrz wiatr się wzmaga, skowycząc przesywając. Westrum niespokojnie unosi głowę, po czym powraca wzrokiem do pasjansa. To w koń cu tylko wiatr...

Ale wiatr nie drapie drzwi... Nie skomli, by go wpuścić...

Westrum wstaje – wysoki, nieco niezgrabny mężczyzna w wełnianej kurtce i kolejowym kombinezonie, z niedopałkiem camela w kąciku ust. Miękki pomarań czowy blask wiszącej na ścianie lampy naftowej oświetla jego pobrużdżoną, surową twarz.

Znów to drapanie. Czyjś pies, myśli Arnie. Zabłąkany, chce się dostać do środka. To wszystko... ale stoi niezdecydowany. Pozostawienie zwierzęcia na takim mrozie byłoby nieludzkie (nie żeby tu w środku było znacznie cieplej; mimo że akumulatorowy grzejnik pracuje pełną parą, w powietrzu po każdym oddechu widać biały obłok), lecz Arnie waha się, tuż pod sercem czuje zimny palec strachu. Ostatnio w Tarker' s Mills coś się popsuło; omeny zapowiadały nadejście zła. Arnie ma w żyłach walijską krew swego ojca i dręczą go złowróźbne przeczucia.

Nim zdąży zdecydować, co zrobi ze swym gościem, cichy skowyt narasta gwałtownie i przechodzi w warkot. Słychać łoskot, coś niewiarygodnie ciężkiego uderza w drzwi... cofa się... i uderza ponownie. Drzwi wyginają się, drżą. Przez szczelinę wpada do środka obłoczek śniegu.

Arnie Westrum rozgląda się gorączkowo w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby je podeprzeć. Nie ma jednak nawet czasu sięgnąć po lekkie krzesło, na którym siedział, bo warczący stwór ponownie z niewiarygodną siłą uderza w drzwi, które pękają z trzaskiem.

Przez chwilę jeszcze się trzymają, wygięte w pionie, a w szczelinie Arnie widzi gotowe do skoku napięte cielsko, otwarty pysk odsłaniający zęby i płonące żółte oczy największego wilka, jakiego w życiu oglądał.

*A jego ryk brzmi zupełnie jak upiorne ludzkie słowa.*

Drzwi jęczą i ustępują z trzaskiem. Za sekundę stwór znajdzie się w środku.

W kącie wśród innych narzędzi stoi oparty o ścianę kilof. Arnie rzuca się w jego stronę i chwyta go dokładnie w chwili, gdy wilk wciska się do budki i przykuca wpatrzony płomiennymi, żółtymi oczami w zapędzonego w kącie mężczyznę. Ostre włochate trójkąty uszu przylegają do czaszki, spomiędzy szczęk wysuwa się długi język. Zza pleców stwora do środka przez pęknięte na pół drzwi wpada śnieg.

Potwór skacze z głośnym warknięciem i Arnie Westrum zamachuje się kilofem.

Jeden raz.

Przez dziurę w strzaskanych drzwiach słaby blask lampy pada na leżący na zewnątrz śnieg.

Wiatr skowycze i zawodzi.

I nagle zaczynają się krzyki.

Coś nieludzkiego przybyło do Tarker' s Mills. Niewidocznego niczym księżyc w pełni płonący wysoko na nocnym niebie, ponad warstwą chmur. To Wilkołak, i nie ma żadnej przyczyny, dla której zjawił się tu i teraz – równie bez powodu jak rak, psychopata o morderczych skłonnościach czy zabójcza trąba powietrzna. To jego czas, jego miejsce, tu, w małym miasteczku w stanie Maine, gdzie co tydzień urządza się kościelne podwieczorki, mali chłopcy i dziewczynki wciąż przynoszą nauczycielom jabłka, a lokalna, cotygodniowa gazeta z namaszczeniem opisuje organizowane przez Klub Seniora pikniki. W przyszłym tygodniu w gazecie pojawią się wieści mroczniejszej natury.

Na dworze śnieg zaczyna zasypywać ślady. Zdaje się, że w skowycie wiatru słyhać niezwykłą dziką radość. Dźwięk ów nie ma w sobie nic z Boga czy światła – to pozbawiony uczuć głos czarnej zimy, mrocznego lodu.

Rozpoczął się rok Wilkołaka.

LUTY

Miłość, myśli Stella Randolph, leżąca w wąskim, dziewiczym łóżku. Przez okno sypialni wpada zimna błękitna poświata walentynkowego księżyca w pełni.

*Och miłość miłość miłość, miłość byłaby jak...*

W tym roku Stella Randolph, która prowadzi pasmanterię w Tarker' s Mills, dostała dwadzieścia walentynek – od Paula Newmana, Roberta Redforda, Johna Travolty... a nawet Ace' a Frehleya z zespołu rockowego KISS. Stoją otwarte na biurku po drugiej stronie pokoju, skąpane w zimnym księżycowym blasku. Przysłała je sobie sama, tak jak każdego roku.

Miłość byłaby niczym pocałunek o świcie... albo ostatni pocałunek, ten prawdziwy, koń czący romanse Harlequina. Miłość byłaby niczym róże o zmierzchu...

Ludzie w Tarker' s Mills wyśmiewają się z niej. O tak, mali chłopcy drwią i chichoczą, zasłaniając usta dłońmi.

A czasem, gdy czują się bezpieczni po drugiej stronie ulicy, a konstabl Neary nie kręci się akurat w pobliżu, śpiewają: „ Gruba beka, beka sadła” . W ich słodkich wysokich sopranach pobrzmiwa szydercza nuta. Ona jednak wie, co to miłość i co to księżyc. Jej sklep coraz bardziej podupada, a sama Stella zbyt wiele waży, teraz jednak, tej nocy pełnej marzeń , gdy księżyc zalewa potokami gorzkiego błękitnego światła zaszronione szyby, wydaje się jej, że miłość wciąż jeszcze jest możliwa. Miłość i woń lata, gdy on nadejdzie...

Miłość byłaby niczym szorstki dotyk policzka mężczyzny, który pociera i drapie...

I nagle Stella słyszy drapanie do okna.

Dźwiga się na łokciach, kołdra zsuwa się z jej bujnego łona. Ciemny kształt przesłania blask księżyca – ciemna plama, bezkształtna, lecz wyraźnie męska postać. I Stella myśli: ja śnię... a w moim śnie pozwolę mu przyjść... pozwolę sobie samej dojść. Często używa się tego słowa jak czegoś nieprzyzwoitego, ono jednak jest czyste, przyzwoite i właściwe. Miłość jest niczym dojście na szczyt.

Stella podnosi się przekonana, że to sen, bo tam naprawdę jest mężczyzna, przycupnięty za oknem mężczyzna, którego zna, którego niemal co dzień mija na ulicach. To...

(miłość miłość przybywa, miłość przyszła)

Lecz gdy jej grube palce dotykają zimnej klamki okna, spostrzega nagle, że to nie mężczyzna, to zwierzę – potężny kudłaty wilk z przednimi łapami opartymi o parapet, tylnymi

zakopanymi aż po brzuch w zaspę; wilk, który przycupnął pod zachodnią ścianą jej domu, tu, na skraju miasta.

Ale dziś są walentynki i dziś będzie miłość, myśli Stella. Oczy oszukują ją nawet w marzeniach. To mężczyzna, ten mężczyzna, niezwykle grzesznie przystojny

(grzech, tak miłość będzie jak grzech)

przybył do niej w tę księżycową noc i ją weźmie. Weźmie...

Stella otwiera okno na oścież i dopiero gwałtowne uderzenie lodowatego powietrza, które szarpie zwiwną błękitną koszulę nocną, mówi jej, że to nie sen. Mężczyzna zniknął. Uczuciem bliskim omdlenia uświadamia sobie, że nigdy go tam nie było. Drżąca cofa się gwałtownie o krok, a wilk wskakuje gładko do jej pokoju i otrząsa się, posyłając w ciemność cukrowe obłoczki śniegu.

Ale miłość! Miłość jest jak... jak... jak krzyk.

Zbyt późno Stella przypomina sobie o Arniem Westrumie, zaledwie miesiąc temu rozszarpanym w budce dróżnika na zachód miasta. Zbyt późno... Wilk podbiega do niej, w żółtych oczach lśni zimne pożądanie. Stella Randolph cofa się wolno ku wąskiemu, dziewiczemu łóżku. Po chwili natrafia nogą na ramę i pada na materac.

W srebrzystym blasku księżycy gęste futro potwora rozstępuje się...

Stojące na biurku karty walentynkowe drżą lekko, poruszone powietrzem wpadającym przez otwarte okno. Jedna z nich wywraca się i leniwie opada na podłogę, zataczając w powietrzu szerokie, bezszelestne łuki.

Wilk kładzie łapy na łóżku po obu stronach Stelli, a ona czuje jego oddech... gorący, lecz o dziwo wcale nie nieprzyjemny. Żółte ślepie wpatrują się w nią.

Kochany, szepcze i zamyka oczy.

Wilk opada na nią.

Miłość jest jak umieranie.



## MARZEC

Ostatnia prawdziwa śnieżycą tego roku – ciężki, mokry śnieg ze śladami deszczu, zasypujący miasto wraz z nadejściem nocy – sprawiła, że całe Tarker' s Mills zasiały połamane gałęzie, pękające z ostrym, przesywającym trzaskiem spróchniałego drewna. Matka Natura sprząta w swym ogrodzie, mówi do żony przy kawie Milt Sturmfuller, miejski bibliotekarz. To chudy mężczyzna o wąskiej głowie i jasnoniebieskich oczach, którego ładna, milcząca żona od dwunastu lat żyje w nieustannym strachu. Kilka osób podejrzewa prawdę – jedną z nich jest żona konstabla Neary' ego, Joan – lecz miasto ma swoje mroczne tajemnice, a zresztą nikt nie wie na pewno. Tutejsi ludzie umieją dochować sekretu.

Miltowi tak bardzo podobają się te słowa, że je powtarza:

– O tak, Matka Natura sprząta w swym ogrodzie...

W tym momencie gasną światła, a Donna Lee Sturmfuller krzyczy cichutko. Rozlewa też kawę.

– Posprzątaj natychmiast – mówi zimno jej mąż. – Posprzątaj-w-tej-chwili.

– Tak, kochanie, dobrze.

W ciemności Donna szuka na oślepie ścierki, którą mogłaby wytrzeć rozlaną kawę, i mocno uderza łydka w stołek. Krzyczy z bólu. Ukryty w mroku mąż śmieje się serdecznie. Ból żony to dla niego najzabawniejsza rzecz pod słońcem, może poza dowcipami „Reader' s Digest”. Dowcipy te, podzielone na działy „Humor w mundurze” czy „Życie w pocztowych Stanach Zjednoczonych”, naprawdę do niego trafiają.

Tej burzliwej marcowej nocy oprócz suchych gałęzi Matka Natura uprząta w swym ogrodzie także kilka linii wysokiego napięcia nad potokiem Tarker. Mokry śnieg oblepia przewody, które stają się coraz cięższe i cięższe, aż w końcu pękają i opadają na drogę niczym gniazdo żmij, poruszając się powoli i pluąc wokół jaskrawobłękitnymi iskrami.

W całym Tarker' s Mills zapada ciemność. Burza zaczyna cichnąć, zupełnie jakby zaspokoiła już swój apetyt na zniszczenie. Przed północą temperatura spada z zera do minus ośmiu stopni. Mokra breja zamarza, tworząc dziwaczne, osobliwe lodowe rzeźby. Rżysko staruszka Hague' a – zwane przez miejscowych Czterdziestomilowym Polem – pokrywa warstewką lśniące, spękanej lodowej glazury. W domach wciąż panuje ciemność; olejowe piece stygną, potrzaskując. Żaden elektryk nie może na razie dostać się do miasta drogą zamienioną w lodowisko.

Chmury rozplywają się powoli. Spomiędzy nich wyłania się księżyc w pełni. Lód pokrywający Main Street lśni niczym stara kość.

Gdzieś w nocnym mroku coś zaczyna wyć.

Później nikt nie zdoła określić, skąd pochodził dźwięk; rozbrzmiewał wszędzie i nigdzie, a promienie księżyca w pełni malowały srebrem ciemne domy w miasteczku; wszędzie i nigdzie, a marcowy wiatr pojękiwał wokół niczym martwy berserker, dmący w róg. Wycie niosło się wraz z wiatrem, samotne i dzikie.

Donna Lee słyszy je, leżąc u boku swego antypatycznego męża, który śpi głęboko snem sprawiedliwych; konstabl Neary słyszy je, stojąc w oknie sypialni przy Laurel Street, odziany w ciepłe kalesony; Ollie Parker, gruby, niezdarny dyrektor podstawówki, słyszy je we własnej sypialni; inni także je słyszą, choćby chłopiec na wózku inwalidzkim.

Nikt nie widzi, co wydaje z siebie ów dźwięk, i nikt nie zna nazwiska włóczęgi, którego następnego dnia znajdzie elektryk, przybywający nad potok Tarker, by naprawić zerwane linie. Włóczęgę także pokrywa lód, głowę ma odchyloną w milczącym krzyku, stary obszarpany płaszcz i koszulę przegryzione. Siedzi w kałuży własnej zamarznętej krwi, wpatrując się w zerwane przewody. Ręce wciąż unosi w obronnym geście. Między palcami osiadł już szron.

A wokół niego widnieją ślady łap.

Łap wilka.

## KWIECIEŃ

W połowie miesiąca ostatnie płatki śniegu zamieniają się w ciepłe deszcze. Coś zdumiewającego dzieje się w Tarker' s Mills: miasto zaczyna się zielenić. Lód na stawie Matty' ego Tellinghama już stopniał, śnieżne zasy w lesie zwanym Wielkim Gajem kurczą się z każdym dniem. Wygląda na to, że znów powtórzy się stary coroczny cud. Nadchodzi wiosna.

Mieszkańcy miasteczka cieszą się na swój sposób, mimo cienia, który padł na Tarker' s Mills. Babcia Hague piecze ciasta i wystawia je na kuchenny parapet, by wystygły. W niedzielę w kościele Łaski Bożej wielbny Lester Lowe czyta fragment „Pieśni nad Pieśniami” i wygłasza kazanie zatytułowane „Wiosna miłości Pańskiej”. Niektórzy wolą bardziej świeckie podejście do świętowania. Chris Wrightson, największy pijak w Tarker' s Mills, urządza sobie Wielką Wiosenną Libację i wychodzi mocno chwiejnym krokiem wprost na ulicę skąpaną w srebrzystym, nierzeczywistym blasku kwietniowego księżyca. Jest prawie pełnia. Billy Robertson, barman i właściciel pubu, jedyne lokalu w Tarker' s Mills, odprowadza go wzrokiem.

- Jeśli ten wilk zabije kogoś dzisiaj - mruczy do barmanki - to pewnie właśnie Chrisa.
- Nawet nie mów takich rzeczy - odpowiada barmanka.

Wstrząsa nią dreszcz. Nazywa się Elise Fournier, ma dwadzieścia cztery lata, chodzi do kościoła Łaski Bożej i śpiewa w chórze, bo durzy się w wielbnym Lowie. Jednak mimo zadurzenia zamierza wyjechać z Mills. Cała ta sprawa z wilkiem zaczyna ją przerażać. W Portsmouth napiwki mogą okazać się lepsze... a jedyne tamtejsze wilki noszą marynarskie mundury.

Noce w Tarker' s Mills - po raz trzeci w tym roku księżyc rośnie na niebie - to nieprzyjemna pora... dni są lepsze. Każdego popołudnia w niebo nad miejskim błoniem wzlatają roje latawców.

Brady Kincaid, jedenastolatek, dostał na urodziny Sępa. Kompletnie stracił poczucie czasu, rozkoszując się naciskiem sznurka w dłoni, tańcem latawca, który krąży po niebie niczym żywa istota, a Brady patrzy, jak nurkuje i zatacza szerokie łuki na rozległym błękitnie nad podium dla orkiestry. Zapomina o tym, że powinien wrócić do domu na kolację. Nie dostrzega też, że inni chłopcy znikają powoli, zabierając swoje latawce pudełkowe, tuląc brezentowe konstrukcje i aluminiowe ptaki. Nie wie, że został sam.

Dopiero coraz słabsze światło i długie niebieskie cienie sprawiają, iż orientuje się, bawi się zbyt długo – a także księżyc, który wynurza się właśnie sponad drzew na skraju parku. Po raz pierwszy w tym roku zwiastuje ciepłą pogodę; wielka, pomarań czowa tarcza, nie zimna i biała. Brady jednak tego nie dostrzega. Wie tylko, że został zbyt długo, że ojciec pewnie mu przyleje... i że zapada zmrok.

W szkole naśmiewał się z fantastycznych powieści kolegów o wilkołaku, który ponoć zabił miesiąc temu włóczęgę, miesiąc wcześniej Stellę Randolph, a jeszcze wcześniej Arniego Westruma. Teraz jednak już mu nie do śmiechu. W promieniach księżyca, które przemieniają kwietniowy zmierzch w ogniste palenisko, historie wydają się aż nadto prawdziwe.

Brady zaczyna prędko zwijać sznurek, ściągając z ciemniejącego nieba Sępa, który spogląda nań dwójgłębokimi oczu. Robi to za szybko, a wiatr nagle cichnie i latawiec opada gwałtownie za podium dla orkiestry.

Brady rusza ku niemu, cały czas zwijając sznurek; co chwila nerwowo ogląda się przez ramię... gdy nagle sznurek zaczyna poruszać się i szarpać mu w dłoniach, w przód i w tył, zupełnie jak wędka, gdy w strumieniu Tarker, nad Mills, Brady schwytał wyjątkowo dużą rybę. Teraz przygląda mu się, marszcząc brwi. W tym momencie sznurek opada.

Przeszywający dźwięk rozdziera nagle nocną ciszę. Brady Kincaid krzyczy. Teraz już wierzy, o tak! Teraz wierzy. Ale jest już za późno. Jego krzyk niknie, zagłuszony wyciem i warczeniem, które wznosi się coraz wyżej, przechodząc w mrozący krew w żyłach skowyt.

Wilk biegnie ku niemu. Biegnie na dwóch łapach. W ognistych promieniach księżyca jego kudłata sierść ma barwę płomieni, oczy świecą niczym zielone reflektory. W jednej łapie – zakończonych ludzkimi palcami i szponami w miejscu, gdzie winny widnieć paznokcie – tkwi latawiec Brady'ego, trzepocący się szaleńczo.

Brady odwraca się, by uciec. Nagle chwytają go kościste łapy, w powietrzu rozchodzi się woń krwi i cynamonu. Następnego dnia zostanie znaleziony, oparty o pomnik ofiar wojny, pozbawiony głowy i wypatroszony. W zeszywniałej dłoni tkwi latawiec Sęp.

Latawiec szarpie się, jakby próbował wzlecieć w niebo, a ekipa poszukiwawcza odwraca się przerażona i wstrząśnięta; szarpie się, ponieważ zerwał się już wiatr – zupełnie jakby wiedział, że to świetny dzień na puszczenie latawców.

MAJ

W noc przed dorocznym spotkaniem niedzielnym w kościele baptystów wielebny Lester Lowe ma straszny sen, z którego budzi się drżący i zlany potem. Spogląda w wąskie okna plebanii. Po drugiej stronie ulicy widzi swój kościół. Srebrne promienie księżyca wpadają do środka i przez moment wielebnemu wydaje się, że zaraz ujrzy wilkołaka, o którym szepczą między sobą starzy parafianie. Potem zamyka oczy, błagając o wybaczenie za zabobonny lęk. Koń czy modlitwę, szepcząc: „W imię Jezusa, amen” – zawsze tak koń czy wszystkie modlitwy Nauczyła go tego matka.

Ale ten sen...

W jego śnie było jutro, a on wygłaszał kazanie świąteczne. W kościele jest zawsze tłoczno w dzień święta (tylko najstarsi ze starych przyków wciąż nazywają je Świętem Powrotu do Domu) i miast spoglądać na do połowy pełne bądź puste ławki, jak w większość niedziel, Lowe nie dostrzega ani jednego wolnego miejsca.

W swym śnie przemawia z ogniem i mocą, jakie rzadko udaje mu się osiągnąć na jawie. Wielebny Lowe ma zwykle tendencję do wygłaszania zbyt monotonicznych kazań. Być może dlatego w ciągu ostatnich kilku lat liczba wiernych uczęszczających do kościoła Łaski Bożej tak mocno spadła. Tego ranka jednak jego język musnął ogień Zielonych Świątek i wielebny pojmując nagle, że wygłasza najwspanialsze kazanie swojego życia, a jego temat brzmi: Bestia krąży pośród nas. Raz po raz powraca do tego tematu, jakby przez mgłę rejestrując fakt, że jego głos staje się szorstki, silny, a słowa padają w niemal poetyckim rytmie. Bestia – mówi im – jest wszędzie. Wielki Szatan – mówi im – może znaleźć się wszędzie. Na licealnej potańcówce. W sklepiu, gdzie kupuje karton Marlboro i gazową zapalniczkę Bic. Może stać przed apteką Brightona, zająć się slim jima i czekać na autobus 16.40 z Bangor. Bestia może siedzieć obok nas na koncercie albo zająć się ciastem w barze Chat' n' Chew przy Main Street. Bestia – mówi im – a jego głos opada do wibrującego szeptu. Wszyscy słuchają z zapartym tchem, jak pogrążeni w transie. Strzeżcie się Bestii, bo może być ktoś, kto uśmiechnie się, mówiąc, że jest waszym sąsiadem. Ale, och, bracia moi, zęby ma ostre, a wy możecie dostrzec, jak niespokojnie krąży jego oczy. To Bestia. Jest tu, teraz, w Tarkers' s Mills. To...

Tu jednak urywa. Opuszcza go dar mowy, bo coś strasznego dzieje się w rozświetlonym kościele. Cała kongregacja zaczyna się zmieniać i wielebny Lowe ze zgrozą uświadamia sobie, że wszyscy zamieniają się w wilkołaki, wszyscy, bez wyjątku, całe

trzysta osób: Victor Bowle, szef rady miejskiej, zwykle tak biały, tusty, nalany... jego skóra zmienia barwę, staje się brązowa, szorstka, ciemnieje od włosów! Violet MacKenzie, nauczycielka gry na fortepianie... jej szczupłe ciało starej panny zaokrągliło się; spiczasty nos staje się szeroki i płaski! Gruby nauczyciel przyrody Elbert Freeman staje się jeszcze grubszy – połyskujący granatowy garnitur pęka; sprężynki włosów wystrzeliwiają na zewnątrz niczym włosie ze starej kanapy. Jego tuste wargi trzaskają niczym pęcherze, ukazując zęby wielkości fortepianowych klawiszy!

Bestia – próbuje powiedzieć we śnie wielebny, lecz słowa go zawodzą i ze zgrozą odpycha się od ambony. Widząc, jak Cal Blodwin, kościelny, biegnie środkowym przejściem, warcząc z przechyloną na bok głową, a pieniądze sypią się ze srebrnej tacy. Violet MacKenzie skacze na niego i razem tarzają się po ziemi, kłusząc i wrzeszcząc głosami, które nie są już ludzkie.

Teraz dołączają do nich inni. W kościele rozbrzmiewa hałas przypominający odgłosy w zoo podczas karmienia, i tym razem wielebny Lowe wykrzykuje z zapalem przypominającym ekstazę:

– Bestia! Bestia jest wszędzie! Wszędzie! Wszędzie...

Lecz jego głos nie należy już do niego, stał się nieartykułowanym warkotem, a gdy spogląda w dół, widzi, że dłonie wystające z rękawów porządnej czarnej marynarki zamieniły się w szponiaste łapy. I wtedy się budzi.

To tylko sen – myśli, kładąc się na wznak. Tylko sen, dzięki Bogu.

Gdy jednak tego niedzielnego ranka, ranka po pełni księżyca, otwiera drzwi kościoła, widzi przed sobą nie sen, lecz wypatroszone zwłoki Clyde' a Corlissa, który od lat sprzątał budynek, wiszące twarzą w dół na ambonie. Obok, oparta o ścianę, stoi szczotka.

Tym razem to nie sen, choć wielebny Lowe bardzo by tego pragnął. Otwiera usta, wciąga w płuca potężny haust powietrza i zaczyna krzyczeć.

Znów nadeszła wiosna – i w tym roku wraz z nią przybyła Bestia.

## CZERWIEC

W najkrótszą noc roku Alfie Knopfler, właściciel Chat' n' Chew, jedynej kafejki w Tarker' s Mills, wyciera do połysku długi fornirowany bar. Podwinięte rękawy białej koszuli odsłaniają umięśnione, wytatuowane ramiona. W tej chwili w kafejce jest zupełnie pusto. Gdy Alfie kończy czy polerować bar, na moment zamiera i wygląda na ulicę. Przypomina sobie, że w podobną pachnącą noc wczesnym latem stracił kiedyś dziewictwo. Pomogła mu w tym Arlene McCune, obecnie Arlene Bessey, żona jednego z najlepszych młodych prawników w Bangor. Boże, jak ona się ruszała tamtej nocy na tylnym siedzeniu jego samochodu, jak słodko pachniało powietrze!

Drzwi do lata otwierają się szeroko, wpuszczając do środka jasną falę księżycowego blasku. Alfie podejrzewa, że w kafejce panują pustki, bo podczas pełni po ulicach krąży ponoć Bestia, tyle że on nie boi się i nie martwi. Nie boi się, ponieważ waży sto dziesięć kilo, a większość tego to nadal wyćwiczone w wojsku mięśnie. Nie martwi się, bo wie, że stali klienci powrócą jutro rano, prosząc o jajecznicę, domowe frytki i kawę. Może – myśli – zamknę dziś nieco wcześniej, wyłączę ekspres do kawy, pozamykam, kupię sześciopak w nocnym sklepie i zdążę jeszcze na drugi film w kinie dla zmotoryzowanych. Czerwiec, czerwiec i pełnia – świetna noc na samochodowe kino i parę piw. Doskonała, by wspominać minione podboje. Właśnie obraca się w stronę ekspresu, gdy otwierają się drzwi. Alfie z rezygnacją ogląda się za siebie.

– Witam, co słychać? – pyta, bo to jeden ze stałych klientów... choć rzadko widuje go później niż o dziesiątej rano.

Klient kiwa głową. Obaj wymieniają parę przyjacielskich słów.

– Kawy? – pyta Alfie, gdy klient siada na jednym z wyściełanych czerwonych stołków barowych.

– Poproszę.

Wciąż jeszcze mogę zdążyć na drugi film – myśli Alfie, sięgając do ekspresu. Gość nie wygląda, jakby miał siedzieć długo. Zmęczony? Może chory? Wciąż mam dość czasu, by...

Wstrząs sprawia, że reszta myśli znika nagle. Alfie gapi się przed siebie, oszołomiony. Ekspres do kawy jest równie błyszczący, nieskazitelnie czysty jak wszystko inne w Chat' n' Chew. Stalowy cylinder lśni niczym metalowe lustro. W jego gładkiej, wypukłej powierzchni Alfie widzi coś równie niewiarygodnego jak ohydneho – jego klient, ktoś, kogo widuje codziennie, ktoś, kogo wszyscy w Tarker' s Mills widują codziennie, zmienia się. Jego

twarz rozpływa się, topnieje, staje się szersza, grubsza. Bawełniana koszula napina się coraz bardziej i bardziej. Nagle zaczyna pękać w szwach, a Alfiemu Knopflerowi przychodzi do głowy tylko absurdalne skojarzenie z kreskówką, którą lubi oglądać jego siostrzeniec, „Niewiarygodny Hulk” .

Miła, pospolita twarz klienta staje się obliczem zwierzęcia. Łagodne, brązowe oczy zmieniają barwę na upiorną, złotawą zieleń . Klient krzyczy... lecz jego krzyk załamuje się, opada przez kolejne rejestry niczym winda i staje się głuchym, wściekłym rykiem.

To coś, potwór, bestia, wilkołak, czymkolwiek jest – sięga łapami na gładki fornirowy blat i wywraca cukiernicę. Chwyta turlający się walec z grubego szkła, rozsypując cukier, i ciska nim o ścianę, w miejsce gdzie wiszą kartki ze specjałami dnia.

Alfie odwraca się gwałtownie, biodrem strąca z półki ekspres, który z hukiem uderza o podłogę, rozbryzgując dokoła gorącą kawę. Gorący płyn parzy mu kostki. Alfie krzyczy z bólu i przerażenia. O tak, teraz się boi. Zapomina o stu dziesięciu kilogramach wyćwiczonych w wojsku mięśni, o siostrzeńcu Rayu, o amarach na tylnym siedzeniu z Arlene McCune. Pozostaje tylko Bestia, niczym postać z horroru wyświetlanego w kinie samochodowym. Potwór z horroru, który zeskoczył wprost z ekranu.

Bestia jednym niedbałym susem wskakuje na bar. Spodnie wiszą na niej w strzępach, podobnie koszula. Alfie słyszy pobrzękujące w kieszeniach klucze i drobne monety.

Stwór rzuca się na Alfiego, a on próbuje uskoczyć, potyka się jednak o ekspres i pada na czerwone linoleum. Słychać kolejny przesywający ryk. Zalewa go fala ciepłego, złotego oddechu, a potem pojawia się wszechogarniający czerwony ból, gdy szczęki stwora rozrywają mięśnie ramion i z upiorną siłą szarpią w górę. Potoki krwi zalewają podłogę, bar, grill.

Alfie dźwiga się na nogi z wielką, poszarpaną, tryskającą krwią dziurą w plecach. Próbuje krzyczeć. Białe promienie księżyca, letniego księżyca, wpadają przez okno i go oślepiają.

Bestia znów atakuje.

Światło księżyca jest ostatnią rzeczą, jaką widzi Alfie.



## LIPIEC

Odwołali Czwartego Lipca.

Najbliżsi Marty' ego Coslawa nie okazują mu zbyt wielkiego współczucia, gdy przekazuje im tę wieść. Może dlatego, że po prostu nie pojmują, jak bardzo go to boli.

- Nie bądź głupi - mówi szorstko matka (często traktuje go szorstko, a kiedy usiłuje wyjaśnić to sobie logicznie, powtarza, że nie może rozpuszczać chłopaka tylko dlatego, że jest niepełnosprawny, że spędzi całe życie w fotelu na kółkach).

- Zaczekaj do przyszłego roku! - mówi tato, klepiąc go w plecy. - Będzie dwa razy lepiej, dwa razy super-duper lepiej, zobaczysz, braciszku! Hej, hej!

Herman Coslaw uczy gimnastyki w szkole podstawowej w Tarker' s Mills i niemal zawsze przemawia do syna tonem, który Marty określa mianem „ głosu starszego kumpla” . Co chwilę powtarza też „ hej, hej” . Prawdę mówiąc, w towarzystwie Marty' ego Herman Coslaw czuje się nieco nieswojo: Herman żyje w świecie szaleńczo aktywnych dzieci, dzieci, które ścigają się na bieżni, rzucają piłką do kosza, pływają w zawodach. A on, tkwiący w samym środku tego zamieszania, od czasu do czasu unosi wzrok i widzi gdzieś w pobliżu Marty' ego, który siedzi w fotelu na kółkach i obserwuje go bez słowa. Widok ten sprawia, że Herman czuje się nieswojo. A gdy się tak czuje, przemawia dudniącym głosem starszego kumpla, mówi „ hej, hej!” i „ super-duper” i nazywa Marty' ego „ braciszkiem”  
- Cha, cha! A zatem w końcu ci nie dostajesz czegoś, czego chcesz! - mówi tryumfalnie jego starsza siostra, gdy Marty próbuje wyjaśnić jej, jak bardzo czekał na ten wieczór, jak wyczekuje go co roku. Czeka na świetlne kwiaty na niebie nad błoniami; gwałtowne, oślepiające rozbłyski, po których następuje dudniące trrrach!, odbijające się echem pośród niskich wzgórz otaczających miasto. Katie ma trzynaście lat, o trzy więcej niż Marty, i jest święcie przekonana, że wszyscy uwielbiają jej brata tylko dlatego, że nie może chodzić. Odwołanie pokazu fajerwerków zachwycało ją niepomiaralnie.

Nawet dziadek Coslaw, na którego współczucie zwykle mógł liczyć, tym razem się nie przejął.

- Njikt nje odwołuje Czwartego Ljipca, chłopcze - powiedział z mocnym słowiańskim akcentem. Siedział na werandzie, Marty wyjechał elektrycznym wózkiem inwalidzkim na zewnątrz przez oszklone drzwi, by z nim porozmawiać. Dziadek Coslaw spoglądał na trawnik i dalej ku drzewom. W dłoni trzymał kieliszek sznapsa. Działo się to drugiego lipca, dwa dni temu. - Odwołali tylko fajerwerki i dobrze wiesz dlaczego.

Istotnie, Marty wiedział – z powodu zabójcy, oto dlaczego. W gazetach nazwano go teraz Księżycowym Mordercą. Marty słyszał krążące po szkole pogłoski, powtarzane szeptem jeszcze przed wakacjami. Mnóstwo dzieciaków twierdziło, że Księżycowy Morderca to nie człowiek, lecz nadprzyrodzony potwór, może wilkołak. Marty w to nie wierzył – wilkołaki występowały wyłącznie w filmach grozy – przypuszczał jednak, iż może znalazł się szaleniec, który czuje potrzebę zabijania, gdy nadchodzi pełnia. Fajerwerki odwołano z powodu cholernej godziny policyjnej.

W styczniu, gdy siedział w swym fotelu obok oszklonych drzwi i wyglądał na werandę, patrząc, jak wiatr gna tumany kłującego śniegu po zamrzniętym trawniku, albo gdy stał obok frontowych drzwi sztywny niczym posąg w zablokowanych aparatach ortopedycznych, obserwując dzieci ciągnące sanki na wzgórze Wrighta, sama myśl o fajerwerkach wystarczyła, by dodać mu sił. Myśl o ciepłej letniej nocy, zimnej coli, ognistych różach rozkwitających w ciemności, kołach św. Katarzyny, amerykańskiej fladze z rzymskich świec.

Teraz jednak odwołali fajerwerki i nieważne, co mówią ludzie. Marty uważa, iż w istocie zamordowali w ten sposób Czwarty Lipca – jego Czwarty Lipca. Wujek Al, który zjawił się w mieście przed południem, by zjeść z rodziną tradycyjnego łososia z groszkiem, zrozumiał go i wysłuchał uważnie, stojąc na płytkach werandy w ociekającym wodą kostiumie kąpielowym.

Pozostali pływali ze śmiechem w nowym basenie Coslawów po drugiej stronie domu.

Marty skoń czył i spojrzał z napięciem na wujka Ala.

– Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Rozumiesz? To nie ma nic wspólnego z tym, że jestem kaleką, tak jak mówi Katie, albo z tym, że fajerwerki mylą mi się z Ameryką, jak sądzi dziadek. Po prostu tak nie powinno być. Kiedy czeka się na coś tak długo... nie powinno być tak, że Victor Bowle i reszta głupiej rady miejskiej ci to odbiera. Nie, kiedy to coś, czego naprawdę potrzebujesz, rozumiesz?

Przez długą, boleśnie długą chwilę wujek Al zastanawiał się nad pytaniem Marty'ego. Czinił to dość długo, by Marty usłyszał łoskot trampoliny nad basenem oraz radosny okrzyk ojca: „Brawo, Katie, świetnie! Hej, hej! Naprawdę świeeetnie!

”  
– Jasne, że rozumiem – powiedział nagle wujek Al. – I chyba mam coś dla ciebie. Może urządzisz własne obchody Czwartego Lipca.

– Własne obchody? To znaczy?

– Chodź ze mną do samochodu, Marty. Mam tam coś... Pokażę ci.

I nim Marty zdołał spytać, co ma na myśli, wujek ruszył szybko betonową ścieżką wokół domu.

Fotel na kółkach z cichym pomrukiem podążył w jego ślady na podjazd, pozostawiając dobiegające z basenu odgłosy, pluski, pełne śmiechu krzyki, łoskot odskakującej trampoliny, a także ojcowski głos starszego kumpla. Marty ledwie rejestrował cichy szum silnika fotela – przez całe życie dźwięk ten, a także pobrzękiwanie aparatu ortopedycznego stanowiły akompaniament każdego jego ruchu.

Wujek Al jeździ niskim mercedesem kabrioletem. Marty wie, że rodzice nie znoszą tego samochodu (śmiertelna pułapka za dwadzieścia osiem tysięcy dolarów – tak nazwała go kiedyś matka z szorstkim, cichym prychnięciem), lecz Marty go uwielbia. Kiedyś wujek Al zabrał go na przejażdżkę wąskimi uliczkami przecinającymi Tarker’ s Mills. Jechał szybko – sto, może sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Nie powiedział Marty’ emu jak szybko.

– Jeśli nie będziesz wiedział, to się nie przestraszysz – oznajmił. Ale Marty się nie bał. Jeszcze następnego dnia bolał go brzuch ze śmiechu.

Wujek Al wyjął coś ze schowka na rękawiczki. Gdy Marty podjechał bliżej i zatrzymał się, mężczyzna złożył na jego wychudzonych kolanach owiniętą w celofan paczuszkę.

– Proszę – rzekł. – Szczęśliwego Czwartego Lipca.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał Marty, były egzotyczne chińskie znaki na etykiecie. Potem zobaczył, co jest w środku, i serce ścisnęło mu się w piersi. Celofanowe opakowanie było pełne fajerwerków.

– Te, które wyglądają jak piramidy, to twizzery – oznajmił wujek Al.

Oniemiały z radości Marty poruszył wargami, próbując coś powiedzieć, lecz nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

– Zapal knot, ustaw je na ziemi, a wystrzelą tyloma kolorami, ile kryje się w smoczym ogniu. Rurki z wystającymi cienkimi patykami to rakiety. Trzeba je włożyć do pustej butelki po coca-coli i już. Te małe to fontanny. Są też dwie rzymskie świece... I oczywiście paczka petard. Ale te lepiej zostaw na jutro.

Wujek Al obejrzał się znacząco w stronę dobiegających od strony basenu hałasów.

– Dziękuję – zdołał wykrztusić Marty. – Dziękuję ci, wujku.

– Tylko nie mów, skąd je wzięłeś – dodał wujek Al. – Ślepemu koniowi za jedno, czy na niego mrugasz, czy machasz mu ręką, no nie?

– Jasne – odparł Marty, choć nie miał pojęcia, co wspólnego mają machające ręce i ślepe konie z fajerwerkami. – Ale jesteś pewien, że nie chcesz ich sobie zostawić, wujku?

- Mogę kupić nowe - odparł wujek Al. - Znam jednego gościa w Bridgton. Nie zamyka sklepu aż do zmroku. - Położył dłoń na głowie Marty' ego. - Urządź sobie Czwartego, gdy wszyscy pójdą spać. Nie puszczaj tych hałaśliwych, bo ich obudzisz. I, na miłość boską, niech ci nie urwą ręki, bo siostrzyczka nigdy się już do mnie nie odezwie.

Potem wujek Al zaśmiał się, wsiadł do samochodu, uruchomił silnik. Uniósł dłoń, pozdrawiając siostrzeńca, i odjechał, nim Marty zdołał wyjąkać kolejne słowa podziękowania. Przez chwilę siedział tam, odprowadzając wzrokiem wujka i mocno przełykając ślinę, by się nie rozpłakać. Potem wsunął paczkę fajerwerków za koszulę i do wtóru pomruku silniczka zawrócił do domu, do swej sypialni. W myślach czekał już na nadejście nocy i na chwilę, gdy wszyscy będą już spać.

Tego wieczoru pierwszy kładzie się do łóżka. Matka przychodzi, całuje go na dobranoc (szorstko, nie patrząc na patykowate nogi pod kołdrą).

- Wszystko w porządku, Marty?

- Tak, mam.

Przez sekundę matka waha się, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, potem lekko kręci głową. Wychodzi.

Następna zjawia się jego siostra, Katie. Nie całuje go, jedynie pochyla głowę blisko szyi Marty' ego, tak blisko, że chłopak czuje woń chloru bijącą z jej włosów, i szepcze:

- Widzisz, nie zawsze dostajesz to, czego chcesz, tylko dlatego, że jesteś kaleką.

- Zdziwiłabyś się, co dostaję - odpowiada cicho Marty, a ona przez chwilę patrzy na niego podejrzliwie, po czym wychodzi.

Ostatni zjawia się ojciec; siada na brzeжку łóżka Marty' ego, przemawiając dudniącym głosem starszego kumpla:

- Wszystko w porządku, wielkoludzie? Wcześniej się kładziesz, naprawdę wcześniej.

- Jestem trochę zmęczony, tato.

- Dobra.

Klepie wielką dłonią jedną z wychudzonych nóg Marty' ego, krzywi się odruchowo, po czym pospiesznie wstaje.

- Przykro mi z powodu fajerwerków, ale zaczekaj do przyszłego roku. Hej, hej! Łubudu!

Marty uśmiecha się lekko, tajemniczo.

A potem zaczyna czekać, aby reszta domowników poszła do łóżka. Trwa to bardzo długo. Telewizor w salonie gada i gada. Przenikliwy chichot Katie często dołącza do nagranych śmiechów. W toalecie w sypialni dziadka głośno szumi woda. Matka gawędzi

przez telefon. Życzy komuś szczęśliwego Czwartego Lipca. Mówi: „tak, co za szkoda, że odwołano pokaz fajerwerków. Ale w tych okolicznościach wszyscy rozumieją dlaczego. Rada musiała podjąć taką decyzję. Tak, Marty był zawiedziony”. Raz, pod koniec rozmowy, wybucha śmiechem, a gdy się śmieje, w jej głosie nie słychać szorstkości. Prawie nigdy nie śmieje się przy Martym.

Siódma trzydzieści zamienia się w ósmą i dziewiątą, a dłoń Marty’ ego od czasu do czasu zakrada się pod poduszkę i sprawdza, czy wciąż tkwi tam owinięta w folię torba fajerwerków. Około wpół do dziesiątej, gdy księżyc stoi już wystarczająco wysoko, by zajrzeć do sypialni i zalać pokój srebrzystym blaskiem, dom zaczyna się uspokajać.

Telewizor gaśnie, Katie idzie do łóżka, protestując, że wszystkie jej przyjaciółki mogą latem siedzieć do późna. Jeszcze jakiś czas rodzice Marty’ ego siedzą w salonie, rozmawiając przyciszonymi głosami. Słyszy tylko szmer. A on...

...a on chyba zasypia, bo gdy następnym razem dotyka cudownej torby fajerwerków, orientuje się, że w domu panuje absolutna cisza, a księżyc stał się jeszcze jaśniejszy – dość jasny, by rzucać cienie. Marty wyciąga torbę, a także książeczkę zapalek, które znalazł wcześniej, wpycha górę od piżamy za gumkę spodni, chowa fajerwerki i zapaliki za pazuchę i szykuje się do wstania z łóżka.

Dla Marty’ ego to skomplikowana czynność, ale wbrew temu, co czasem sądzą ludzie, ani trochę bolesna. Jego nogi są pozbawione czucia, toteż nie bolą. Chwyta mocno zagłówek, podciąga się do pozycji siedzącej, a potem spuszcza kolejno nogi. Robi to jedną ręką. Drugą trzyma się poręczy, która zaczyna się przy łóżku i okrąża cały pokój. Raz próbował poruszać nogi oburącz, ale natychmiast wywinął koziołka i wylądował twardo na podłodze. Łomot był tak duży, że zbiegli się wszyscy domownicy.

- Ty i te twoje głupie popisy! - szepnęła mu wściekle do ucha Katie, gdy wspólnie pomogli mu usiąść w fotelu. Marty był wstrząśnięty, lecz zaśmiewał się niczym wariat, mimo wyrastającego na skroni guza i pękniętej wargi. - Chcesz się zabić, co? - A potem wybiegła z pokoju zapłakana.

Gdy już siedzi na krawędzi łóżka, wyciera dłonie o koszulę, by się upewnić, że są suche i nie będą się ślizgać. Potem, chwytając się poręczy, podciąga się po kawałku do fotela. Bezużyteczne patykowate nogi wloką się za nim niczym balast. Światło księżyca jest tak jasne, że Marty widzi przed sobą na podłodze wyraźny, ostry cień.

Fotel na kółkach ma zaciągnięty hamulec. Marty opada na niego z absolutną pewnością, że nic się nie stanie. Chwilę odpoczywa - oddycha głęboko, wsłuchany w panującą w domu ciszę. Nie puszczaj dziś tych hałaśliwych - powiedział wujek Al, i

zasłuchany w ciszę Marty wie, że wuj miał rację. Zachowa Czwarty Lipca dla siebie. Wyłącznie. Nikt inny nie będzie o nim wiedział – przynajmniej do jutra. Wówczas znajdą na werandzie osmalone resztki twizzerów i fontann, ale wtedy nie będzie już to miało znaczenia. Tyle kolorów, ile kryje się w smoczym ogniu – mówił też wujek Al. Marty jednak przypuszcza, że żadne prawo nie zabrania smokowi oddychać w milczeniu.

Powoli zwalnia hamulec i naciska przełącznik. W ciemności rozbłyska małe bursztynowe oczko oznaczające, że akumulator jest w pełni naładowany. Marty naciska skręt w prawo. Wózek obraca się szybko. Hej, hej! Gdy widzi przed sobą drzwi werandy, naciska naprzód. Fotel toczy się posłusznie, szumiąc cicho.

Marty zwalnia zasuwkę na podwójnych drzwiach, ponownie naciska naprzód i wytacza się na zewnątrz. Rozdziera cudowny worek fajerwerków, po czym waha się chwilę, chłonąc urok letniej nocy – ospałe cykanie świerszczy, lekki pachnący wietrzyk, który ledwie porusza liśćmi drzew na skraju lasu, niemal nienaturalną jasność księżyca.

Nie może już dłużej czekać; wyciąga węża, zapala zapałkę, przytyka do lontu i patrzy zachwycony w ciszy na fajerwerk, jarzący się zielononiebieskim ogniem i rosnący magicznie, wijący się, tryskający płomieniami z ogona.

Czwarty Lipca – myśli Marty. Jego oczy jaśnieją. Czwarty, czwarty, czwarty lipca. Mój szczęśliwy Czwarty Lipca!

Jasny płomień węża szybko przygasa, migocze, znika. Marty podpala jeden ze stożkowatych twizzerów i patrzy, jak fajerwerk wypływa z siebie ogień, równie żółty jak szczęśliwa golfowa koszulka taty. Nim pierwszy gaśnie, zapala następny, strzelający płomieniami ciemnoczerwonymi niczym róże rosnące obok drewnianego palikowego płotu, otaczającego nowy basen. Teraz nocne powietrze wypełnia cudowna woń spalonego prochu. Lekki wietrzyk rozprasza ją powoli.

Marty sięga na oślep i wyciąga płaską paczuszkę petard. Otwiera ją i nagle przypomina sobie, że ich zapalenie byłoby prawdziwą katastrofą – ogłuszający huk wystrzałów niczym seria z karabinu obudziłby całe sąsiedztwo: pożar, powódź, alarm, ewakuacja! Pewien dziesięciolatek, niejaki Marty Coslaw, dostałby pewnie szlaban aż do Gwiazdki.

Podsuwa wyżej na kolanach Czarne Koty, z radosną miną ponownie sięga do torby i wyciąga największy twizzer ze wszystkich – najwyższej klasy, jeśli w ogóle istnieje coś takiego. Wielkością dorównuje zaciśniętej pięści Marty’ego. Z radością i lekką obawą zapala go i rzuca przed siebie.

Noc rozjaśnia czerwone światło, jaśniejsze niż ognie piekieł, i w jego migotliwym, gorączkowym blasku Marty widzi, jak krzaki na skraju lasu pod werandą zaczynają się trząść i rozsuwać. Słysząc cichy dźwięk – na wpół chrząknięcie, na wpół warkot. Pojawia się Bestia.

Przez chwilę stoi na końcu trawnika, jakby węszyła w powietrzu... a potem zaczyna iść w górę zbocza w stronę Marty'ego, siedzącego na kamiennej posadzce w fotelu na kółkach. Oczy chłopca wychodzą z orbit. Górna połowa jego ciała wciska się w płócienne oparcie fotela. Wyraźnie widzi, że Bestia, choć przygarbiona, maszeruje na dwóch tylnych łapach. Idzie zupełnie jak człowiek. Czerwone światło twizzera odbija się złowieszczo w jej zielonych oczach.

Potwór porusza się wolno; jego potężne nozdrza rozszerzają się rytmicznie. Węchem wyczuwa zdobycz. Na pewno czuje też jej słabość. Marty natomiast czuje smród Bestii – jej włosów, potu, dzikości. Stwór znów powarkuje. Jego gruba górna warga barwy wątroby marszczy się, odsłaniając potężne, zakrzywione zęby. W promieniach księżyca futro Bestii ma barwę przybrudzonego srebra i czerwieni.

Potwór niemal się już ku niemu pochyla – szponiaste dłonie, tak podobne, a jednocześnie jakże różne od ludzkich, wyciągają się do jego gardła – gdy chłopiec przypomina sobie o paczce petard. Niemal w transie zapala zapałkę i przytyka do głównego lontu, który zajmuje się łatwo, tryskając wokół siebie gorącymi, czerwonymi iskierkami, przypalającymi drobne włoski na grzbiecie dłoni Marty'ego. Wilkołak, zaskoczony, cofa się z pytającym pomrukiem, który, podobnie jak jego dłonie, jest niemal ludzki. I wtedy Marty ciska paczką petard wprost w jego pysk.

Sztuczne ognie wybuchają w ogłuszającym deszczu ognia i hałasu. Bestia wydaje z siebie przeszywający ryk bólu i wściekłości. Odskakuje chwiejnie, unosząc szpony, próbując osłonić się przed wybuchami, które tatuują jej pysk drobinkami ognia i płonącego prochu. Marty widzi, jak jedno z jasnych jak reflektory zielonych oczu gaśnie nagle, gdy cztery petardy wybuchają naraz z ogłuszającym, niesamowitym trrrach! tuż przy pysku potwora. W krzykach Bestii słysząc rozdzierające cierpienie. Szarpie pazurami własną twarz, rycząc. A kiedy w domu Coslawów zapalają się pierwsze światła, stwór obraca się i odbiega przez trawnik w głąb lasu, pozostawiając po sobie jedynie smród przypalanego futra i pierwsze przerażone i oszołomione krzyki z wnętrza domu.

– Co to było? – głos matki, ani trochę nie szorstki.

– Kto tam jest, do diabła? – to ojciec. Nie brzmi w tej chwili jak starszy kumpel.

– Marty? – głos Katie, drżący, pozbawiony wszelkich śladów złości. – Marty, nic ci nie jest?

Dziadek Coslaw przesypia całą awanturę.

Marty odchyła się w fotelu. Wielki czerwony twizzer migocze i zaczyna gasnąć. Jego światło ma teraz łagodną, uroczą barwę różu wczesnego poranka. Chłopak jest zbyt wstrząśnięty, by płakać, lecz szok nie jest do końca złym uczuciem, mimo iż następnego dnia rodzice zawiozą go z wizytą do wujka Jima i ciotki Aidy w Stowe w Vermoncie, gdzie zostanie do końca wakacji (policja chętnie się zgadza; władze uważają, że Księżycowy Morderca może ponownie zaatakować Marty'ego i uciszyć na zawsze). W głębi duszy Marty czuje też radosne podniecenie, silniejsze niż wstrząs – spojrzał w straszliwe oblicze Bestii i przeżył. Jest też w nim prosta dziecięca radość, cicha radość, której nigdy nie zdoła nikomu opisać, nawet wujkowi Alowi, choć ten mógłby zrozumieć. Czuje radość, bo widział sztuczne ognie.

A gdy jego rodzice zadręczają się obawami i zastanawiają się, jak wydarzenia tej nocy wpłyną na psychikę syna i czy będzie cierpiał na kompleksy do końca życia, Marty Coslaw dochodzi do wniosku, że był to najlepszy Czwarty Lipca w jego życiu.



## SIERPIEŃ

- Jasne, uważam, że to wilkołak - mówi konstabl Neary.

Przemawia zbyt głośno - może przypadkiem, może niby przypadkowo, w istocie z rozmysłem - i wszystkie rozmowy w zakładzie fryzjerskim Stana cichną gwałtownie. Jest tuż po połowie sierpnia, najgorętszego od lat sierpnia w Tarker' s Mills. A dziś wieczór będzie druga noc pełni. Miasto zatem wstrzymuje oddech i czeka.

Konstabl Neary przez chwilę wodzi wzrokiem po twarzach słuchaczy, a potem wstaje ze środkowego fotela u Stana Pelky' ego i zaczyna mówić: poważnie, rozsądnie, psychologicznie, odwołując się do głębi swego licealnego wykształcenia. Neary to potężny, rosły mężczyzna. W liceum zajmował się głównie zdobywaniem punktów dla drużyny Tygrysów z Tarker' s Mills. (Nauczyciele oceniali jego osiągnięcia naukowe na tróje i parę dwój).

- Istnieją ludzie, którzy są w istocie jakby dwiema osobami, coś jak rozdwojenie osobowości. Ja nazywam ich pieprzonymi świrami.

Na chwilę zawiesza głos, napawając się pełną szacunku ciszą, witającą jego słowa.

- Myślę, że tu mamy właśnie takiego faceta. Wątpię, by wiedział, co robi, gdy księżyc jest w pełni, a on wymyka się z domu i kogoś zabija. To może być każdy: kasjer z banku, sprzedawca na stacji benzynowej przy drodze. Może nawet ktoś z was. Toteż, jeśli spojrzymy na to jak na zwykłego, normalnego człowieka, który w środku ma dzikie zwierzę, to owszem, uważam, iż to wilkołak. Jeżeli jednak spytacie, czy wierzę, że to gość, który nagle porasta sierścią i wyje do księżycy... nie, to bzdury dobre dla dzieciaków.

- A co powiesz o chłopaku Coslawów, Neary? - pyta Stan, ostrożnie obcinając włosy wokół wałka tłuszczu u podstawy karku konstabla. Długie, ostre nożyczki szczękają: ciach-ciach-ciach...

- To tylko potwierdza moje słowa - odpowiada z lekkim zniecierpliwieniem Neary. - Bzdury dobre dla dzieciaków.

Prawdę mówiąc, cała ta sprawa z Martym Coslawem budzi w nim coś gorszego niż zniecierpliwienie. Oto chłopak, pierwszy naoczny świadek, który widział wariata, zabójcę sześciu osób w tym mieście, w tym bliskiego przyjaciela Neary' ego Alfiego Knopflera. I czy wolno mu go przesłuchać? Nie. Czy nawet wie, gdzie jest teraz chłopak? Nie! Musi zadowolić się zeznaniem dostarczonym przez policję stanową, a i tak przyszło mu nieźle nabłagać się i nagimnastykować, nim zdobył choć tyle. Wszystko dlatego, że jest konstablem

z małego miasteczka, kimś, kogo policja stanowa uważa za gliniarza na niby, nieumiejącego zasnuować własnych butów. Dlatego że nie ma stanowej, pierdzielonej czapki. A to zeznanie! Równie dobrze mógłby podetrzeć nim sobie tyłek. Według dzieciaka Coslawów ta Bestia miała około dwóch metrów wzrostu, była naga, cała porośnięta czarnymi włosami; miała wielkie zęby, zielone oczy i cuchnęła jak gówno pumy. Miała też szpony, lecz przypominały one dłonie. Chłopak uważał też, że miała ogon. Ogon, na miłość boską!

- Może - wtrąca Kenny Franklin ze swego miejsca pod ścianą - może to jakieś przebranie, no wiesz, maska i tak dalej.

- Nie wierzę - odpowiada z naciskiem Neary i kiwa głową, podkreślając swoje słowa. Stan musi pospiesznie cofnąć nożyczkę, by nie wbić ostrza w spory wałek tłuszczu na karku policjanta. - O nie, absolutnie w to nie wierzę. Dzieciak nasłuchiwał się przed wakacjami w szkole historii o wilkołaku; sam to przyznaje. Potem nie miał nic lepszego do roboty, siedział w tym swoim fotelu i wciąż o tym rozmyślał. Wałkował wszystko w głowie. To wszystko kwestia pierdzielonej psychologii. Nawet gdybyś to ty wyskoczył z krzaków w świetle księżyca, on wzięłby cię za wilka, Kenny.

Kenny śmieje się nieco niespokojnie.

- Nie - mówi ponuro Neary. - Zeznanie dzieciaka jest w ogóle do niczego.

W swym niesmaku i poczuciu głębokiego zawodu z powodu zeznania, które złożył Marty Coslaw w domu ciotki i wuja w Stowe, konstabl przeoczył też istotne słowa: „ Cztery z nich wybuchły mu z boku twarzy - chyba można to nazwać twarzą. Wszystkie jednocześnie. I chyba wypaliły mu oko, lewe oko” .

Gdyby konstabl Neary przetrawił je w myślach - a nie przetrawił - wyśmiałby wszystko z jeszcze większą pogardą, bo w owym gorącym bezwietrznym sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego tylko jeden mieszkaniec miasteczka nosił przepaskę na oku, a nikt, absolutnie nikt nie mógłby sądzić, że ta akurat osoba, ten człowiek, to zabójca. Neary prędzej uwierzyłby, że morduje jego własna matka niż ten człowiek.

- Tylko jedna rzecz może pomóc rozwiązać tę sprawę - mówi teraz, dźgając palcem powietrze przed czterema czy może pięcioma mężczyznami siedzącymi pod ścianą i czekającymi na sobotnie strzyżenie. - To porządna robota policyjna, a ja zamierzam być facetem, który ją rozwiąże. Ci stanowi kretyni zobaczą, kto się śmieje ostatni, gdy aresztuję sprawcę. - Twarz Neary' ego przybiera rozmarzony wyraz. - Każdy - mówi - kasjer z banku, sprzedawca benzyny... zwykły gość, z którym pijecie drinka w barze, ale dobra robota policyjna to podstawa. Zapamiętajcie moje słowa.

Lecz dobra policyjna robota konstabla Landera Neary' ego na nic się zdaje tej nocy, gdy przez otwarte okno półciężarówki dodge, zaparkowanej na skrzyżowaniu dwóch dróg gruntowych w zachodnim Tarker' s Mills, sięga włochata, potężna łapa, srebrząca się w blasku księżyca. Słychać niski, gardłowy warkot; w powietrzu roznosi się dzika, przerażająca woń podobną można poczuć w zagrodzie lwów w zoo.

Szarpnięcie obraca mu głowę i konstabl Neary patrzy wprost w jedno zielone oko. Widzi futro – czarny, wilgotny pysk, a kiedy górna warga marszczy się i unosi, dostrzega też kły. Bestia niemal lekceważąco uderza go łapą, zrywając jeden z policzków, odsłaniając zęby z prawej strony. Krew jest wszędzie. Neary czuje, jak ciepła fala spływa mu po ramieniu koszuli, wsiąka w materiał. Krzyczy. Krzyczy przez usta i dziurę w policzku. Nad kołyszącymi się ramionami Bestii widzi księżyc, zalewający świat potokami białego blasku.

Zupełnie zapomina o swym winchesterze i czterdziestcepiątce przypiętej do pasa. Zapomina o całej pierdzielonej psychologii, zapomina o dobrej robocie policyjnej. Zamiast tego wszystkie jego myśli skupiają się na czymś, co powiedział Kenny Franklin w zakładzie fryzjerskim: „Może to jakieś przebranie, no wiesz, maska i tak dalej

” . Zatem gdy wilkołak sięga do gardła Neary' ego, konstabl wyciąga ręce ku jego twarzy, chwyta garściami szorstkie, ostre futro i ciągnie z szaloną nadzieją, że maska poruszy się i odpadnie – że usłyszy trzask pękającej gumy, lepki dźwięk rozdieranego lateksu i ujrzy oblicze zabójcy.

Nic się jednak nie dzieje – tylko ryk bólu i wściekłości dobywa się z gardła Bestii. Potwór uderza go szponiastą dłońią – tak, Neary widzi teraz, że to dłoń , choć potwornie zniekształcona, dłoń – chłopak miał rację – i rozszarpuje mu tchawicę. Krew tryska na przednią szybę wozu i deskę rozdzielczą. Ścieka na butelkę buscha, tkwiącą między udami konstabla.

Drugą ręką wilkołak chwyta Neary' ego za świeżo przycięte włosy i na wpół wywleka z kabiny półciężarówki. Raz jeden ryczy tryumfalnie, a potem pochyla pysk wprost do jego gardła. Pożywia się, podczas gdy z wywróconej butelki wylewa się piwo, pieniąc się na podłodze wozu, obok pedałów gazu i hamulca.

Tyle, jeśli chodzi o psychologię.

Tyle, jeśli chodzi o dobrą policyjną robotę.

## WRZESIEŃ

Mija połowa miesiąca, szybkimi krokami zbliża się noc pełni, a przerażeni ludzie w Tarker' s Mills czekają na koniec upałów. Na próżno. Gdzie indziej, na szerokim świecie, kończą się wstępne rozgrywki baseballu i zaczyna sezon futbolowy. Dwudziestego pierwszego września w kanadyjskich Górach Skalistych spada trzydzieści centymetrów śniegu, o czym informuje mieszkańców Tarker' s Mills poczciwy stary Willard Scott. Tu jednak, w tym zakątku świata, wciąż trwa lato. Co dzień temperatura przekracza trzydzieści stopni. Dzieci, od trzech tygodni w szkole i niezbyt tym uszczęśliwione, duszą się w klasach na nudnych, ciągnących się zajęciach. Mają wrażenie, że szkolne zegary przeskakują zaledwie o minutę, mimo iż w istocie upływa godzina. Mężowie i żony kłócą się gwałtownie bez żadnych powodów. A na stacji benzynowej Gulf O' Neila u wylotu Town Road, przy zjeździe na drogę międzystanową pewien turysta zaczyna wyzywać się na Puckym O' Neilu, narzekając na ceny benzyny. Pucky rozwala mu głowę pistoletem od dystrybutora i pochodzący z New Jersey turysta odchodzi, mamrocząc wściekle pod nosem coś o procesach i pozwach. Później w szpitalu założą mu cztery szwy na górnej wardze.

- Nie wiem, czemu marudził - mówi ponuro Pucky tego wieczoru w pubie. - Rąbnąłem go tylko z połową siły. No wiecie, gdybym walnął go z całej siły, rozwaliłbym mu na kawałki pieprzoną szczękę. Wiecie?

- Jasne - odpowiada Billy Robertson, bo Pucky wygląda, jakby zaraz miał przywalić jemu z całej siły, jeśli się nie zgodzi. - Co powiesz na jeszcze jedno piwko, Pucky?

- W to mi graj - mówi Pucky.

Milt Sturmfuller posyła żonę do szpitala z powodu kawałka jajecznicy, którego nie splukała z talerza zmywarka. Raz jeden spogląda na zaschniętą, żółtą plamę na talerzu, na którym Donna Lee próbowała podać mu lunch, i wymierza jej cios jak ta lala. Jak powiedziałby Pucky O' Neil, Milt walnął ją z całej siły.

- Cholerna, niechlujna suka - mówi, stojąc nad Donna Lee, która leży na podłodze w kuchni. Jej złamany nos krwawi, krwawi także rana z tyłu głowy. - Moja matka umiała porządnie umyć talerze, a nie miała żadnej zmywarki. Co jest z tobą nie tak?

Później Milt powie lekarzowi z ostrego dyżuru szpitala w Portland, że Donna Lee spadła ze schodów z tyłu domu. Donna Lee, przerażona i pokonana po dziewięciu latach małżeństwa skiego ostrzału, potwierdzi jego wersję.

Około siódmej wieczór w noc pełni zrywa się wiatr – pierwszy chłodny wiatr długiego lata. Przywiewa chmury z północy. Przez jakiś czas księżyc bawi się z nimi w chowanego, ukrywając się za kolejnym obłokiem i malując ich krawędzie srebrną, metaliczną farbą. A potem chmury zaczynają gęstnieć i księżyc znika... Mimo to dalej tam jest; jego przyciąganie czuje odległe o trzydzieści kilometrów od Tarker’ s Mills morze, a także krążąca bliżej Bestia.

Około drugiej nad ranem z chlewu Elmera Zinnemana przy West Stage Road, około siedemnastu kilometrów za miastem, dobiega przeraźliwy kwik. Elmer, ubrany tylko w spodnie od piżamy i kapcie, zaczyna szukać strzelby. Jego żona, która, gdy Elmer poślubił ją w wieku szesnastu lat w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym, była niemal ładna, błaga, prosi i płacze, aby z nią został. Nie chce, by wychodził. Elmer odpycha ją i chwyta stojącą przy wejściu strzelbę. Jego świnie już nie kwiczą, one krzyczą, zupełnie jak grupka młodych dziewcząt, siedzących w domu i zaatakowanych przez wariata.

– Idę i nic mnie nie powstrzyma – mówi Elmer... po czym zastyga z jedną pokrytą odciskami spracowaną dłonią na zasuwce tylnych drzwi, bo w ciemności wśród nocnych dźwięków rozlega się przeszywające tryumfalne wycie wilka. Jest w nim jednak coś tak ludzkiego, iż dłoń Elmera sama opada z zasuwki. Elmer pozwala Alice Zinneman, by zaciągnęła go z powrotem do salonu. Obejmuje ją i przyciąga do siebie na kanapie. Siedzą tak długo, niczym dwójka przerażonych dzieci.

Powoli krzyki świń słabną i cichną kolejno. O tak, cichną. Jeden za drugim. Ich wrzaski rozpływają się, zagłuszone okrutnym, krwawym gulgotem. Bestia znów wyje, a jej głos jest równie srebrny jak księżyc. Elmer podchodzi do okna i widzi coś – nie potrafi powiedzieć co – odbiegającego w ciemność.

A potem przychodzi deszcz i bębni o szyby. Elmer i Alice siedzą razem w łóżku z zapalonymi światłami. To zimny deszcz, prawdziwy deszcz jesieni. Jutro wśród liści pojawią się pierwsze ślady złota.

W chlewie Elmer zastaje to, czego oczekiwał – jatkę. Dziewięć macior i oba wieprze są martwe – wypatroszone i częściowo pożarte. Leżą w błocie, a krople zimnego deszczu rozbryzgują się na poszarpanych trupach. Wyłupiaste martwe oczy spoglądają wprost w zimne jesienne niebo.

Obok Elmera stoi jego brat Pete, wezwany z Minot. Długą chwilę obaj milczą. W końcu Elmer mówi głośno to samo, o czym myśli też Pete:

– Część kosztów pokryje ubezpieczenie. Nie wszystkie, ale część. Chyba zdołam spłacić resztę. Lepiej, że zginęły moje świnie niż kolejny człowiek.

Pete przytakuje.

- Dostyc już tego - odpowiada głosem tak cichym, że niemal zagłusza go szum deszczu.

- Co masz na myśli?

- Wiesz dobrze, co mam na myśli. Podczas następnej pełni musimy zebrać czterdziestu mężczyzn... albo sześćdziesięciu... albo stu sześćdziesięciu. Czas, żeby ludziska przestały się opieprzać i udawać, że nic się nie dzieje. Każdy dureń widzi, co się święci. Spójrz tutaj, na miłość boską.

Pete wskazuje w dół. Wokół pomordowanych świń na miękkiej ziemi chlewu widać bardzo duże ślady. Wyglądają niczym ślady wilka... ale też sprawiają wrażenie dziwnie ludzkich.

- Widzisz te kurewskie ślady?

- Widzę - przyznaje Elmer.

- Myślisz, że zostawiła je sładka Betsy z Pike?

- Nie. Raczej nie.

- Zostawił je wilkołak - mówi Pete. - Ty to wiesz, Alice to wie, większość ludzi z tego miasta to wie. Do diabła, nawet ja to wiem, choć mieszkam w sąsiednim okręgu.

Patrzy na brata z surową, ponurą twarzą, twarzą purytanina z Nowej Anglii z połowy XVII wieku i powtarza:

- Już dostyc. Czas to zakończyć.

Elmer zastanawia się długą chwilę, podczas gdy deszcz bębni o sztormiaki obu mężczyzn. W końcu kiwa głową.

- Pewnie tak. Ale nie podczas następnej pełni.

- Chcesz zaczekać do listopada?

Elmer przytakuje.

- Gołe gałęzie. I lepiej tropi się na śniegu.

- A co z przyszłym miesiącem?

Elmer Zinneman patrzy na świnię wymordowaną w chlewiku obok stodoły. Potem spogląda na swego brata Pete' a.

- Ludzie będą musieli uważać - mówi.

## PAŹDZIERNIK

Gdy Marty Coslaw, niemal całkowicie wyczerpawszy akumulatory swego wózka inwalidzkiego, wraca do domu z halloweenowej wyprawy po cukierki, idzie wprost do łóżka, gdzie leży, nie śpiąc do czasu, aż księżycowy rogal rozbłyśnie na ciemnym niebie, zastanym gwiazdami jasnymi niczym odłamki brylantów. Na dworze, na werandzie, gdzie czwartego lipca paczka petard uratowała mu życie, lodowaty wiatr pędzi przed sobą tumany wirujących liści, które grzechoczą niby stare kości. Pełnia w Tarker' s Mills minęła, nie przynosząc ze sobą nowego morderstwa. To już drugi miesiąc z rzędu bez żadnej ofiary. Część mieszkańców – choćby Stan Pelky, fryzjer, i Cal Blodwin, właściciel jedyne sklepu z samochodami Blodwin Chevrolet – uważa, że groza dobiegła końca, że mordercą był włóczęga, bezdomny mieszkający w lesie, który wyniósł się stąd, tak jak zapowiadali od początku. Inni jednak nie są pewni. To ci, którzy świetnie pamiętają cztery rozszarpane trupy jeleni, znalezione przy zjeździe na autostradę w dzień po październikowej pełni, i jedenaście świń Elmera Zinnemana, zabitych podczas pełni we wrześniu. Długie jesienne wieczory, spędzone przy piwie w pubie, pełne są podobnych dyskusji.

Ale Marty Coslaw wie.

Tego wieczoru wybrał się na przejażdżkę z ojcem (jego ojciec uwielbia Halloween. Lubi jesienny przejmujący chłód, lubi śmiać się donośnie śmiechem starszego kumpla i wykrzykiwać idiotyczne teksty, takie jak „ hej, hej!” i „ dzyń , dzyń , dzyń ” , gdy otwierają się drzwi i spoglądają na nich znajome twarze z Tarker' s Mills). Marty przebrał się za Yodę. Na głowę założył wielką gumową maskę Dona Posta. Stroju dopełniała obfita szata, ukrywająca wychudzone nogi chłopca.

– Ty zawsze dostajesz wszystko, czego chcesz – mówi Katie, odrzucając w tył włosy, gdy widzi maskę... On jednak wie, że tak naprawdę nie jest na niego wściekła i dowodzi tego, robiąc mu własnoręcznie wspaniale wykrzywiony kij Yody (znakomicie uzupełniający kostium). Może smutno jej, bo rodzice uznali, że jest już za duża, by zbierać cukierki. Zamiast tego pójdzie na prywatkę z przyjaciółkami z liceum. Będzie tań czyć do wtóru Donny Summer, bawić się w łapanie jabłek, a później, gdy przygasną światła, zagra w butelkę i może pocałuje jakiegoś chłopaka – nie dlatego że chce, ale ponieważ fajnie będzie śmiać się z tego potem z przyjaciółkami w szkole.

Tata Marty' ego zabiera go furgonetką, bo ma ona specjalną rampę, dzięki której można łatwiej wtaczać do środka wózek. Marty zjeżdża po niej. Potem już samodzielnie

krąży po ulicy. Torbę trzyma na kolanach. Razem podchodzą do kolejnych domów w sąsiedztwie i jeszcze kilku w centrum: Collinsów, McInnesów, Manchesterów, Millikenów i Eastonów. W pubie stoi akwarium pełne cukierków. Na plebanii Kościoła Kongregjonalistów Marty dostaje snickersy, na plebanii baptystów batony Chunky, a potem ruszają do Randolphów, Quinów, Dixonów i jeszcze dziesięciu, dwudziestu innych. Marty wraca do domu z torbą słodyczy pękającą w szwach i straszną, niemal niewiarygodną informacją.

On wie.

Wie, kim jest wilkołak.

W pewnym momencie jego wycieczki Bestia we własnej osobie, obecnie bezpiecznie zamknięta w ciele między pełniami szaleństwa, wrzuciła cukierki do jego worka, nieświadoma, że twarz Marty'ego ukryta pod maską Yody śmiertelnie zbladła, a schowane w rękawiczce palce zacisnęły się na kijku tak mocno, że paznokcie zupełnie zbielały. Wilkołak uśmiecha się do Marty'ego i klepie go po gumowej głowie.

Ale to wilkołak, bez dwóch zdań. Marty to wie, i nie tylko dlatego, że jedno oko mężczyzny przesłania przepaska. Jest coś jeszcze – głębokie podobieństwo ludzkiej twarzy tego człowieka do wykrzywionego pyska zwierzęcia, którego widział w srebrzystą letnią noc niemal cztery miesiące temu.

Od swego powrotu z Vermontu do Tarker' s Mills na początku września Marty czuwał, pewny, że wcześniej czy później ujrzy wilkołaka i że go pozna, gdy go zobaczy, bo wilkołak będzie miał tylko jedno oko. Choć policjanci przytakiwali i mówili, że to sprawdzą, gdy poinformował ich, iż niemal na pewno wybił oko potworowi, Marty natychmiast zrozumiał, że mu nie uwierzyli. Może dlatego, że jest tylko dzieckiem. A może dlatego, że nie było ich tam owej lipcowej nocy, gdy doszło do starcia. Tak czy inaczej to nie ma znaczenia. Wiedział, że tak będzie.

Tarker' s Mills to małe miasteczko, ale domy są bardzo rozrzucone, i aż do dzisiejszego wieczoru Marty nie widział nikogo o jednym oku. Nie odważył się też zadawać pytań. Matka już i tak boi się, że owo lipcowe wydarzenie mogło na zawsze odcisnąć na nim swe piętno. Lęka się, że gdyby zaczął wypytywać, wcześniej czy później dowiedziałyby się o tym. Poza tym Tarker' s Mills to małe miasteczko. Wcześniej czy później sam ujrzy Bestię w jej ludzkim ciele.

Jadąc do domu, pan Coslaw (tysiące uczniów dawnych i obecnych nazywają go trenerem Coslawem) myśli, że Marty jest tak cichy, bo wieczór i towarzyszące mu podniecenie go wyczerpały. W istocie jest wręcz przeciwnie. Marty nigdy – poza nocą cudownych fajerwerków – nie czuł się tak podekscytowany i pełen energii. Przede wszystkim



w jego głowie rozbrzmiewa myśl: potrzebował niemal sześćdziesięciu dni od chwili powrotu do domu, aby odkryć tożsamość wilkołaka, bo wraz z całą rodziną jest katolikiem i chodzi do kościoła św. Marii na przedmieściach.

Mężczyzna w przepasce na oku, mężczyzna, który wrzucił mu do worka batonik Chunky, a potem uśmiechnął się i poklepał go po czubku gumowej głowy, nie jest katolikiem. Wręcz przeciwnie, Bestia to wielbny Lester Lowe z kościoła baptystów pod wezwaniem Łaski Bożej.

Gdy mężczyzna wychylił się z drzwi plebanii z szerokim uśmiechem, w padającym na chodnik żółtym blasku lampy Marty wyraźnie ujrzał przepaskę. Sprawia ona, że nieśmiały, przeciętny wielbny wygląda niemal jak pirat.

- Przykro mi z powodu pań skiego oka, wielbny Lowe - powiedział donośnym głosem starszego kumpla pan Coslaw. - Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Uśmiech wielbnego Lowe' a stał się nieco cierpiętniczy. Szczerze mówiąc - wyjaśnił - niestety stracił oko. Łagodny guz. Lekarze musieli je usunąć, by się do niego dostać. Ale taka była wola Pana, ale on przywykł już do tej zmiany. Ponownie poklepał czubek zakrywającej całą głowę Marty' ego maski i dodał, że niektórzy muszą nieść jeszcze cięższy krzyż.

Teraz więc Marty leży w łóżku, słuchając śpiewu październikowego wiatru, który szeleści ostatnimi liśćmi jesieni i poświstuje w oczodołach dyń stojących po obu stronach podjazdu Coslawów. Marty patrzy, jak księżyc wschodzi na rozgwieżdżonym niebie. Pytanie brzmi: co ma teraz zrobić?

Sam nie wie, ale jest pewien, że z czasem znajdzie odpowiedź.

Tej nocy śpi głębokim, pozbawionym marzeń snem małych dzieci, a na dworze rzeka wiatru przepływa przez Tarker' s Mills, zmywając październik i przynosząc ze sobą zimny, rozgwieżdżony listopad, żelazny miesiąc jesieni.

## LISTOPAD

Listopad – ostatni niedopałek roku chwycił w żelazne okowy Tarker’ s Mills. Na Maine Street odbywa się dziwaczny exodus. Wielebny Lester Lowe obserwuje go z okna plebanii baptystów. Właśnie wyszedł po pocztę i trzyma w dłoni sześć religijnych okólników i jeden list, obserwując długą linię zakurzonych ciężarówek: fordów, chevroletów, international harvesterów wyjeżdżających z miasta. W telewizji mówią, że wkrótce spadnie śnieg. Nie są to jednak uciekinierzy przed burzą, zmierzający w cieplejsze strony. Nikt nie jedzie na Florydę czy złote plaże Kalifornii w myśliwskiej kurtce z karabinem za plecami i z psami na pace. <sup>To</sup> Już czwarty dzień, w którym mężczyźni kierowani przez Elmera Zinnemana i jego brata Pete’ a wyjeżdżają z miasteczka z bronią i niezliczonymi sześciopakami piwa. Najwyraźniej wraz z nadejściem pełni zapanowała wśród nich nowa moda. Sezon na ptaki dobiegł końca, podobnie sezon na jelenie, ale wilkołaki nie mają okresu ochronnego. A większość owych mężczyzn, mimo ponurych min osaczonych osadników, ustawiających w krąg swoje wozy, w istocie wspaniale się bawi, bawi się, jak mógłby powiedzieć trener Coslaw, cholerycznie dobrze!

Wielebny Lowe wie doskonale, że dla części owych mężczyzn to tylko zabawa. Oto sposobność wycieczki do lasu, napicia się piwa, sikania w rozpadliny, opowiadania dowcipów o polaczkach, żabojadach i czarnuchach, postrzelania do wiewiórek i wron. To oni są prawdziwymi zwierzętami, myśli Lowe, a jego ręka odruchowo sięga do przepaski, którą nosi od lipca. W końcu któryś kogoś postrzeli. Mają szczęście, że jeszcze do tego nie doszło.

Ostatni z samochodów znika za szczytem wzgórza. Z daleka wciąż dobiega trąbienie klaksonów, powarkiwanie i szczekanie psów. Owszem, dla części ludzi to zwykła zabawa, ale niektórzy z nich – choćby Elmer i Pete Zinnemanowie – są śmiertelnie poważni.

– Jeśli ten stwór, nieważne człowiek czy bestia, w tym miesiącu wyruszy na łowy, psy znajdą jego trop. – Tak mówił Elmer dwa tygodnie temu w zakładzie fryzjerskim. Wielebny Lowe słyszał go przypadkiem. – A jeśli on – czy ono – nie będzie polować, może przynajmniej uratujemy komuś życie, albo czymś zwierzętom.

Tak, są wśród nich tacy – może tuzin, może dwa tuziny – którzy poważnie traktują tę sprawę. Ale to nie z ich powodu wielebny Lowe’ a ogarnęło nowe uczucie, uczucie, że został zapędzony w kozi róg.

Sprawiły to liściki, liściki, z których najdłuższy liczył dwa zdania; napisane dziecięcym starannym pismem, czasem z błędami. Spogląda na list, który przyszedł z

dzisiejszą pocztą, zaadresowany tym samym dzieciennym charakterem pisma, tak jak mógłby to uczynić każdy *Wielebny Lowe, plebania baptystów, Tarker' s Mills, Maine 04491.*

Dziwne uczucie, że jest schwytany w pułapkę... Wyobraża sobie, że podobnie czuje się lis, gdy nagle dostrzega, że ogary zapędziły go w ślepe uliczkę. Chwila paniki, kiedy odwraca się, szczerząc zęby, by stoczyć walkę z psami, które z pewnością rozszarpia go na strzępy.

Zdecydowanym ruchem zamyka drzwi i wraca do salonu, w którym wielki szafkowy zegar dostojnie odmierza czas: uroczystymi pełnymi powagi *tak*. Wielebny Lowe siada, starannie układa religijne biuletyny na stole, który pani Miller czyści do połysku dwa razy tygodniu, i otwiera najnowszy list. Podobnie jak w pozostałych nie ma nagłówka ani pozdrowień. Podobnie jak w pozostałych brak podpisu. Na środku kartki wydartej ze szkolnego zeszytu w linie widnieje jedno zdanie:

*Czemu się nie zabijesz?*

Wielebny Lowe przykłada dłoń do czoła. Palce drżą lekko. Drugą ręką zgniata kartkę i wrzuca do dużej szklanej popielniczki na środku stołu (wielebny spotyka się z wiernymi właśnie w salonie, a niektórzy nękani problemami parafianie palą). Z domowego swetra wyciąga pudełko zapalek i podpala list, tak jak spalił poprzednie. Patrzy, jak płonie.

Lowe powoli, etapami uświadamiał sobie, czym się stał. Etap pierwszy: po majowym koszmarnym śnie, w którym cała kongregacja zamieniła się w wilkołaki, i straszliwym odkryciu wypatroszonych zwłok Clyde' a Corlissa, zaczął dostrzegać, że dzieje się z nim coś... niedobrego. Nie umie określić tego inaczej. Ale wie też, że czasem rano, zwykle w okresie pełni, budzi się i czuje się zdumiewająco dobrze, zaskakująco świetnie, zdumiewająco silnie. Uczucie to gaśnie wraz z księżycem, a potem znów narasta, gdy nadchodzi pełnia.

Po śnie i śmierci Corlissa musiał przyjąć do wiadomości inne fakty, które do tej pory udawało mu się ignorować: podarte, zabłocone ubrania, zadrapania i siniaki, których nie potrafił wytłumaczyć (ale ponieważ nigdy nie bolały i nie dolegały mu tak jak zwykle zadrapania i siniaki, łatwo było je zlekceważyć, po prostu o nich... nie myśleć). Umiał nawet nie dostrzegać śladów krwi, które czasem znajdował na rękach... i wargach.

A potem piątego lipca nadszedł drugi etap. Mówiąc po prostu: obudził się ślepy na jedno oko. Podobnie jak w przypadku skaleczeń i zadrapań nie czuł żadnego bólu, lecz na miejscu oka pozostał tylko zakrwawiony, zwęglony oczodół. W tym momencie świadomość stała się zbyt wyraźna, by móc jej zaprzeczać: to on jest wilkołakiem. On jest Bestią.

Przez ostatnie trzy dni znów czuje to samo: wielki niepokój, niecierpliwość bliską niemal radości, uczucie nieustannego napięcia. To znów nadchodzi. Zbliża się chwila

przemiany. Dziś wzejdzie księżyc w pełni, a wokół krążą myśliwi z psami. Nieważne. Jest mądrzejszy, niż sądzą. Mówią o człowieku-wilku, ale tak naprawdę myślą jedynie o wilku, nie o człowieku. Mogą jeździć furgonetkami; on też umie prowadzić. Dziś po południu pojedzie do Portland swym małym volare i zatrzyma się w motelu na przedmieściach. A jeśli nadejdzie przemiana, nie będzie tam myśliwych ani psów. Zresztą to nie oni go przerażają.

*Czemu się nie zabijesz?*

Pierwszy list przyszedł na początku miesiąca. Był bardzo prosty:

*Wiem, kim jesteś.*

Drugi brzmiał:

*Jeśli jesteś prawdziwym sługą bożym, wyjedź z miasta. Pojedź gdzieś, gdzie będziesz mógł zabijać zwierzęta, ale nie ludzi.*

Trzeci był krótki:

*Zakoń cz to.*

To wszystko. Jedynie *Zakoń cz to.*

A teraz:

*Czemu się nie zabijesz?*

Bo nie chcę – myśli z dziecinnym uporem wielebny Lowe. Nie prosiłem o to, co mnie spotkało – cokolwiek to jest. Nie ugryzł mnie wilk, nie przeklęli Cyganie, po prostu... stało się. W zeszłym roku w listopadzie zebrałem kwiaty do kościelnych wazonów na ślicznym cmentarzyku na Sunshine Hill. Nigdy wcześniej nie widziałem podobnych kwiatów. Zwiędły, nim zdążyłem wrócić do miasta. Poczerniały, co do jednego. Może wtedy to się zaczęło. Nie mam powodów tak sądzić... ale jednak sądzę. I nie zabiję się. To oni są zwierzętami, nie ja. Kto pisze te liściki?

Wielebny Lowe nie wie. Ataku na Marty' ego Coslawa nie opisała cotygodniowa gazeta z Tarker' s Mills, a on szczyli się tym, że nie słucha plotek. Poza tym, tak jak Marty aż do Halloween nie wiedział, co spotkało Lowe' a, ponieważ ich religijne kręgi się nie stykały, wielebny Lowe nie ma też pojęcia o istnieniu Marty' ego i nie pamięta, co robi, gdy staje się Beſtia; czuje tylko niemal alkoholową euforię po zakończeniu miesięcznego cyklu i niepokój przed jego rozpoczęciem.

Jestem sługą bożym – myśli teraz, wstając i krążąc coraz szybciej i szybciej po cichym salonie, w którym szafkowy zegar dostojnie odmierza czas uroczystymi powagami *tak*. Jestem sługą bożym i się nie zabiję. Czynię tu wiele dobra, a jeśli czasem robię też coś złego, cóż, przede mną ludzie także czynili zło. Zło również służy woli Bożej, tak przynajmniej głosi Księga Hioba. Jeśli przeklęło mnie coś z zewnątrz, wówczas Bóg powali

mnie, gdy nadejdzie pora. Wszystko służy woli Bożej... I kto to jest? Czy mam zacząć wypytywać? Kto został zaatakowany czwartego lipca? Jak ja (ono) straciłem (straciło) oko? Może powinienem go uciszyć... Ale nie w tym miesiącu. Niech najpierw znów zamkną w domach psy. O, tak...

Zaczyna krążyć, coraz szybciej i szybciej; mocno zgarbiony, nieświadom, że jego zarost, zwykle skąpy (wielebny Lowe goli się zaledwie co trzy dni... przynajmniej przez większą część miesiąca), zaczyna gwałtownie gęstnieć i wydłużać się, a jedyne brązowe oko nabiera jasnoorzechowego odcienia, który pogłębia się z każdą chwilą i wieczorem zamieni w szmaragdową zieleń. Idąc, pochyla się coraz bardziej. Zaczyna też mówić do siebie, lecz słowa stają się coraz cichsze i niższe; coraz bardziej przypominają warkot.

W końcu, gdy szare listopadowe popołudnie zaczyna ciemnieć i niebo przybiera barwę stali, wielebny Lowe wpada do kuchni, zrywa z kołka przy drzwiach kluczyki do volare i niemal biegnie w stronę samochodu. Szybko jedzie w kierunku Portland, uśmiechając się, i nie zwalnia, nawet gdy w płomieniach reflektorów zaczynają tańczyć pierwsze śnieżne płatki w tym roku, sypiące się z nieba szarego niczym żelazo. Gdzieś nad chmurami wyczuwa księżyc, czuje jego moc. Jego pierś pęcznieje, naciągając szwy białej koszuli.

Szybko nastawia radio na stację rockandrollową i czuje się po prostu... świetnie!

To, co dzieje się później tego wieczoru, można uznać za sąd Boży albo żart starszych bogów, którym ludzie oddawali cześć w księżycowe noce, bezpiecznie ukryci wewnątrz kamiennych kręgów. To zabawne, o tak, bardzo zabawne, bo Lowe wyjechał aż do Portland, by zamienić się w Bestię, a jego ofiarą w ową śnieżną listopadową noc ostatecznie padł Milt Sturmfuller, od urodzenia mieszkający w Tarker' s Mills... i może istotnie Bóg jest sprawiedliwy, bo jeśli w Tarker' s Mills jest jakiś łajdak, z pewnością jest nim Milt Sturmfuller. Przyjechał tu tego wieczoru, tak jak wiele wieczorów wcześniej, informując swą zastraszoną żonę Donnę Lee, że musi załatwić sprawy służbowe. Lecz jego jedyną sprawą służbową jest panienska lekkich obyczajów Rita Tennison. Rita zaraziła go opryszczką, a Milt przekazał ją już Donnie Lee, Donnie, która nigdy w trakcie ich małżeństwa nawet nie spojrzęła na innego mężczyznę.

Wielebny Lowe zatrzymał się w motelu The Drifwood, na trasie Portland-Westbrook. Ten sam motel wybrali owej listopadowej nocy Milt Sturmfuller i Rita Tennison na załatwienie swoich spraw służbowych.

Kwadrans po dziesiątej Milt wychodzi na dwór, by zabrać z samochodu butelkę bourbona. Jest bardzo zadowolony i gratuluje sobie właśnie, że podczas pełni znalazł się daleko od Tarker' s Mills, gdy z dachu zasypanej śniegiem dziesięciokołowej ciężarówki

peterbilt rzuca się na niego Bestia i jednym potężnym ciosem odrywa mu głowę. Ostatnim dźwiękiem, jaki przed śmiercią słyszy Milt Sturmfuller, jest tryumfalny warkot wilkołaka, a potem jego głowa toczy się pod peterbilta z szeroko otwartymi oczami. Z szyi tryska krew, butelka bourbona wypada z bezwładnej dłoni, gdy Bestia opuszcza pysk i zagłębia go w ranie, zaczynając posiłek.

Następnego dnia na plebanii baptystów w Tarker' s Mills czujący się... świetnie wielebny Lowe przeczyta o morderstwie w gazecie i pomyśli nabożnie: Nie był dobrym człowiekiem. Wszystko na świecie służy Panu.

Potem pomyśli: Co ta za dzieciak przysłała mi liściki? Kto to był w lipcu? Czas się dowiedzieć, czas posłuchać plotek.

Wielebny Lester Lowe poprawia przepaskę na oku, wyciąga z gazety kolejną stronę i myśli: Wszystko na świecie służy Panu. Jeśli taka będzie wola Pana, znajdę go i uciszę na zawsze.

## GRUDZIEŃ

Jest za kwadrans północ. Sylwester. W Tarker' s Mills, podobnie jak na całym świecie, kończy się rok. I w Tarker' s Mills, podobnie jak na całym świecie, rok ten przyniósł ze sobą wiele zmian.

Milt Sturmfuller nie żyje. Jego żona, Donna Lee, w końcu wyzwolona z niewoli, wyprowadziła się z miasta. Jedni mówią, że wyjechała do Bostonu, inni, że do Los Angeles. Jakaś kobieta próbowała ponownie otworzyć Księgarnię na Rogu, bez powodzenia, lecz zakład fryzjerski, sklep spożywczy i pub nadal radzą sobie nieźle, piękne dzięki. Clyde Corliss nie żyje, ale jego dwaj bracia nicponie, Alden i Errol, mają się świetnie i wymieniają za gotówkę kupony żywnościowe. Robią to jednak dwa miasteczka dalej – nie są aż tak bezczelni, by próbować tu, w Mills. Babcia Hague, która piekła najlepsze ciasta w miasteczku, zmarła na atak serca; Willie Harrington, dziewięćdziesięciodwulatek, pod koniec listopada pośliznął się na lodzie przed swym domkiem przy Ball Street i złamał kość biodrową, lecz biblioteka otrzymała sporą darowiznę w testamencie bogatego letnika i w przyszłym roku rozpocznie się budowa skrzydła dziecięcego, o którym od niepamiętnych czasów dyskutowano na spotkaniach rady miejskiej. Olliego Parkera, dyrektora szkoły, nękał w październiku krwotok z nosa, który w żaden sposób nie chciał ustać. Lekarz poinformował go, że cierpi na nadciśnienie. Masz szczęście, że nie rozsadziło ci mózgu, mruknął, rozwijając mankiet do mierzenia ciśnienia, po czym kazał zrzucić Olliemu dwadzieścia kilogramów. I zdarzył się prawdziwy cud – do świąt Ollie zdążył schudnąć dziesięć kilo. Wygląda i czuje się jak nowy człowiek. I zachowuje się jak nowy człowiek, mówi jego żona swej najlepszej przyjaciółce, Delii Burney, i uśmiecha się lubieżnie. Brady Kincaid, zabity przez Bestię w szczycie sezonu puszczenia latawców, wciąż nie żyje, a Marty Coslaw, który kiedyś siedział tuż za Bradym w szkole, nadal jest kaleką.

Pewne rzeczy się zmieniają, inne nie. Tu, w Tarker' s Mills, rok kończy się tak samo, jak nadszedł – skowyczącą na dworze śnieżną burzą, wśród której skrada się Bestia. Czyha gdzieś w mroku.

W salonie domu Coslawów czuwają tylko dwie osoby i oglądają „Rockandrollowego sylwestra Dicka Clarke' a”. To Marty Coslaw i jego wujek Al. Wujek Al siedzi na kanapie, Marty w fotelu na kółkach przed telewizorem. Na kolanach ma broń, trzydziestkęósemkę colta woodsmana. W komorach tkwią dwa pociski, oba zrobione z czystego srebra. Wujek Al poprosił o ich przygotowanie przyjaciela z Hampden, Maca McCutcheona. Mac McCutcheon,

po krótkich protestach, stopił srebrną łyżeczkę komunijną Marty' ego palnikiem propanowym i obliczył wagę prochu niezbędnego, by wyrzucić pocisk, nie wprawiając go jednocześnie w szaleńcze wirowanie.

- Nie gwarantuję, że zadziałają - powiedział wujkowi Alowi ów McCutcheon - ale pewnie tak. Co chcesz zabić, Al? Wilkołaka czy wampira?

- Oba - mówi wujek Al, odpowiadając szerokim uśmiechem. - Dlatego właśnie prosiłem cię o dwa pociski. W pobliżu kręcił się też banshee, lecz jego ojciec zmarł w Dakocie Północnej i banshee musiał złapać samolot do Fargo. - Śmieją się chórem, po czym Al mówi: - Są dla mojego siostrzeńca. Ma hysia na punkcie filmowych horrorów i pomyślałem, że może to być ciekawy gwiazdkowy prezent.

- Jeśli wystrzeli jeden z nich w wesołego grubasa, przywieź mi go tutaj - prosi Mac. Chciałbym zobaczyć, co się stanie.

Szczerze mówiąc, wujek Al sam nie wie, co myśleć. Nie widział Marty' ego ani nie odwiedzał Tarker' s Mills od trzeciego lipca. Jak przypuszczał, jego siostra, matka Marty' ego, wpadła w szal z powodu fajerwerków.

- Mógł zginać, ty przeklęty kretynie! Co ty sobie wyobrażałeś, na miłość boską! - krzyczy do słuchawki.

- Mam wrażenie, że to właśnie fajerwerki uratowały mu życie - zaczyna Al, słyszy jednak tylko ostry szcęk przerwane połączenia. Jego siostra jest uparta. Jeśli nie chce czegoś słuchać, to nie słucha.

I nagle, na początku miesiąca, zadzwonił Marty.

- Muszę się z tobą zobaczyć, wujku - rzekł. - Tylko z tobą mogę porozmawiać.

- Jestem na stopie wojennej z twoją mamą, mały - odparł Al.

- To ważne - rzekł Marty. - Proszę. Proszę.

Toteż Al przyjechał i stawił czoło lodowatemu, pełnemu dezaprobaty milczeniu siostry. W zimny pogodny grudniowy dzień zabrał Marty' ego na przejażdżkę sportowym samochodem, sadzając go starannie w fotelu pasażera. Tyle że tego szczególnego dnia nie przekraczał szybkości i nie śmiał się szaleńczo; Marty mówił, a wujek Al słuchał. Słuchał jego opowieści z rosnącym niepokojem.

Marty zaczął od relacji z wydarzeń owej nocy cudownych fajerwerków, kiedy petardami wybił stworowi lewe oko. Potem opowiedział mu o Halloween i wielebnym Lowie. Następnie poinformował wujka Ala, że zaczął wysyłać wielebnemu anonimowe liściki... to znaczy anonimowe aż do ostatnich dwóch, napisanych po zabójstwie Milta Sturmfullera w



Portland. Te bowiem podpisał tak, jak go nauczono w szkole: „Z poważaniem, Martin Coslaw”.

– Nie powinieneś wysyłać temu człowiekowi liścików, nieważne, anonimowych czy nie! – rzucił ostro wujek Al. – Jezu, Marty, czy przyszło ci kiedyś do głowy, że możesz się mylić?

– Jasne, że przyszło. Dlatego właśnie ostatnie dwa podpisałem pełnym nazwiskiem. Nie spytasz mnie, co się stało? Nie spytasz, czy zadzwonił do mego ojca i powiedział mu, że wysłałem mu liścik o treści: „Czemu się nie zabijesz?” i inny, mówiący: „Pętla się zaciska”?

– Nie zrobił tego, prawda? – spytał Al, z góry znając odpowiedź.

– Nie – odrzekł cicho Marty. – Nie rozmawiał z moim tatą, nie rozmawiał z moją mamą i nie rozmawiał ze mną.

– Marty, mogą istnieć setki powodów, dla których...

– Nie, jest tylko jeden. To wilkołak. To on jest Bestią, to on. I czeka na nadejście pełni. Jako w pełni wylebny Lowe nie może nic zrobić, lecz jako wilkołak może zrobić niejedno. Może mnie uciszyć.

I Marty powiedział to z taką mrozącą krew w żyłach prostotą, iż niemal przekonał Ala.

– Czego więc chcesz ode mnie? – zapytał Al.

A Marty mu powiedział. Chciał dwóch srebrnych kul i pistoletu, z których mógłby je wystrzelić. Chciał też, by wujek Al przyjechał do niego w sylwestra, noc pełni.

– Nie zrobię nic podobnego – oświadczył wujek Al. – Marty, dobry z ciebie dzieciak, ale zaczyna ci odbijać. Uważam, że to typowy przypadek ostrej gorączki inwalidzkiej. Kiedy to przemyślisz, zrozumiesz.

– Może – odparł Marty. – Ale jak się poczujesz, jeśli w Nowy Rok zadzwoni telefon z informacją, że znaleziono mnie martwego w łóżku, rozszarpanego na kawałki? Chcesz mnie mieć na sumieniu, wujku Alu?

Al zaczął coś mówić, po czym gwałtownie zamknął usta. Zawrócił na podjeździe; przednie koła mercedesa odbiły się w świeżym śniegu. Wrzucił bieg i zaczął cofać samochód. Walczył w Wietnamie, zdobył parę medali, udało mu się uniknąć dłuższych związków z kilkoma młodymi, napalonymi kobietami, teraz jednak poczuł się schwyty w pułapkę przez dziesięcioletniego siostrzeńca. Dziesięcioletniego kalekiego siostrzeńca. Oczywiście, że chciał mieć czegoś takiego na sumieniu. A Marty dobrze o tym wiedział. Wiedział też, że jeśli wujek Al uzna, iż istnieje nawet jedna szansa na tysiąc, że ma rację...

Cztery dni później, dziesiątego grudnia, wujek zadzwonił.

- Mam wspaniałą nowinę - oznajmił Marty rodzinie, wtaczając się do dużego pokoju. -  
Wujek Al przyjeżdża na sylwestra!

- Z całą pewnością nie! - powiedziała jego matka swym najzimniejszym, najbardziej szorstkim tonem.

Marty nie dał się zbić z tropu.

- O rany, przepraszam, już go zaprosiłem. Powiedział, że przywiezie proszek  
wybuchowy do kominka.

Jego matka przez resztę dnia patrzyła wściekle na Marty' ego za każdym razem, gdy  
znalazł się w pobliżu, albo ona się znalazła... ale nie zadzwoniła do brata i nie kazała mu  
trzymać się z daleka. To było najważniejsze.

Tego wieczoru, podczas kolacji, Katie syknęła mu do ucha:

- Ty zawsze dostajesz, dostajesz to, czego chcesz! Tylko dlatego, że jesteś kaleką!

Marty uśmiechnął się szeroko i odszepnął:

- Ja też cię kocham, siostrzyczko.

- Ty mały smarku! - Zachnęła się.

I oto jest już sylwester. Matka Marty' ego była pewna, że Al nie pokaże się w tak  
paskudną burzę. Za oknami skowycze wiatr, jęczy, zawodzi, gna przed sobą tumany śniegu.  
Prawdę mówiąc, Marty przez chwilę też miał wątpliwości... Lecz wujek Al zjawił się koło  
ósmej. Nie przyjechał sportowym mercedesem, tylko pożyczonym wozem z napędem na  
cztery koła.

O jedenastej trzydzieści wszyscy w rodzinie już śpią, oprócz nich dwóch. Marty  
przewidywał, że tak będzie, a choć wujek Al pozornie zlekceważył obawy siostrzeń ca,  
przywiózł ze sobą nie jeden, lecz dwa pistolety, ukryte pod grubym płaszczem. Ten z dwiema  
srebrnymi kulami bez słowa wręczył Marty' emu, gdy rodzice poszli do łóżka (matka  
Marty' ego, kładąc się, demonstracyjnie trzasnęła drzwiami sypialni, i to bardzo mocno).  
Drugi jest załadowany bardziej konwencjonalną amunicją, lecz Al uważa, że jeśli włamie się  
tu dziś szaleniec (a w miarę upływu czasu, gdy nic się nie dzieje, wątpi w to coraz bardziej),  
czterdziestkapiątka magnum z pewnością go zatrzyma.

Teraz na ekranie telewizora kamery coraz częściej pokazują wielką świecą kule na  
dachu budynku Allied Chemical przy Times Square. Mijają ostatnie minuty roku. Tłum  
wiwatuje. W kącie naprzeciw telewizora stoi choinka Coslawów, zaschnięta, lekko  
brązowawa, wyglądająca smutno i żałośnie bez zebranych pod nią prezentów.

- Marty, nic... - zaczyna wujek Al i w tym momencie wielkie okno w salonie eksploduje w deszczu szklanych odłamków, wpuszczając do środka skowyczący wiatr, roztań czoną chmurę białego śniegu... i Bestię.

Na moment Al zamiera, sparaliżowany strachem i niedowierzaniem. Bestia jest olbrzymia, ma ponad dwa metry wzrostu, choć garbi się tak, że jej przednie łapy niemal sięgają dywanu. Jedno zielone oko (tak jak mówił Marty, myśli tępo Al, wszystko wygląda tak, jak mówił Marty) rozgląda się z niesamowitą upiorną inteligencją... i wreszcie patrzy na Marty' ego siedzącego w fotelu na kółkach. Potwór skacze na chłopca, z jego piersi wydziera się przeszywające triumfalne wycie, wymykające się z zagrody olbrzymich żółto-białych zębów.

Spokojnie, z niemal obojętną miną, Marty unosi trzydziestkęósemkę. Wydaje się bardzo mały w fotelu inwalidzkim - chudziutkie nogi, odziane w sprane, wyblakłe dżinsy, futrzane kapcie na stopach, które od urodzenia niczego nie czuły. Co niewiarygodne, ponad szalonym wyciem wilkołaka, wrzaskiem wiatru i szumem własnych oszalałych myśli, o tym, jak to możliwe w świecie prawdziwych ludzi, prawdziwych rzeczy, ponad tym wszystkim Al słyszy, jak jego siostrzeniec mówi:

- Biedny, stary wielebny Lowe. Spróbuję cię uwolnić.

I gdy wilkołak skacze, wyciągając szponiaste łapy, wyprzedzając własny cień na dywanie, Marty strzela. Nieco mniejsza porcja prochu w pociskach sprawia, że dźwięk wystrzału jest niemal absurdalnie cichy, zupełnie jak w wiatrówce.

Lecz ryk wściekłości wilkołaka gwałtownie się wznosi, ku najwyższemu rejestrom. Teraz to wrzask bólu szaleń ca. Potwór wpada na ścianę, ramieniem wybija dziurę na drugą stronę. Obraz Curriera i Ivesa spada mu na głowę, ześlizguje się po gęstej sierści na grzbiecie i roztrzaskuje na kawałki. Po wykrzywionej wściekłością włochatej twarzy spływa krew, zielone oko wydaje się oszołomione. Stwór, potykając się, rusza ku Marty' emu, wciąż warcząc. Jego szponiaste dłonie otwierają się i zaciskają, kłapiące szczęki odcinają płaty zakrwawionej piany. Marty trzyma pistolet oburącz, tak jak małe dziecko kubek z kompotem. Czeka, czeka... i gdy wilkołak znów rzuca się na niego, strzela. Drugie oko bestii gaśnie magicznie niczym świeca na wietrze. Bestia wrzeszczy ponownie i potykając się, rusza ślepa w stronę okna. Śnieżyca wydyma firanki i zasłony, unosi mu je nad głowę. Al widzi czerwone krwiste kwiaty, rozkwitające na białym materiale. Tymczasem na ekranie telewizora wielka świecąca kula zaczyna opadać.

Wilkołak osuwa się na kolana. Ojciec Marty' ego, ubrany w jaskrawożółtą piżamę, wpada do pokoju. Magnum wciąż leży na kolanach Ala. Nie zdążył go nawet podnieść.

Teraz Bestia pada na ziemię... raz jeszcze drży... i umiera.

Pan Coslaw wpatruje się w nią oszołomiony.

Marty odwraca się do wujka Ala, w dłoniach wciąż trzyma dymiący pistolet. Twarz ma zmęczoną... lecz pogodną.

- Szczęśliwego Nowego Roku, wujku Alu - mówi. - On nie żyje. Bestia nie żyje. - I nagle zaczyna płakać.

Na podłodze, pod stosem najlepszych białych zasłon pani Coslaw, wilkołak zaczyna się zmieniać. Włosy porastające twarz i ciało wydają się znikać, jakby wciągane do środka. Wargi, uniesione w grymasie bólu i wściekłości, opadają, zakrywając malejące zęby. Szpony znikają magicznie, stając się paznokciami... paznokciami niemal żałośnie obgryzionymi i połamanymi.

Na podłodze leży wielbny Lester Lowe, spowity w krwawy całun z zasłony, a wokół niego unosi się chmura śniegu.

Wujek Al podchodzi do siostrzeńca i uspokaja go. Tymczasem ojciec Marty'ego gapi się na nagiego trupa na podłodze, a matka Marty'ego, ściskając pod szyją szlafrok, skrada się do salonu. Al obejmuje Marty'ego, mocno, bardzo mocno.

- Dobrze się spisałeś, mały - szepcze. - Kocham cię.

Na zewnątrz wiatr zawodzi i krzyczy pod zasnutym śniegiem niebem, gdy pierwsza minuta roku w Tarker' s Mills przechodzi do historii.

## POSŁOWIE

Każdy, kto choć trochę interesuje się fazami Księżyca, zorientuje się natychmiast, niezależnie od wybranego roku pozwoliłem sobie na sporą dowolność, jeśli chodzi o cykl księżycowy – zwykle po to, by wykorzystać szczególne dni (walentynki, czwarty lipca itd.), które „symbolizują” w naszych umysłach pewne miesiące. Czytelników, którzy sądzą, że się pomyliłem, zapewniam, iż wiedziałem, że robię błąd – ale pokusa była zbyt silna.

Stephen King  
4 sierpnia 1983

STEPHEN KING'S

STEPHEN KING'S



EBOOKS RELOAD

EBOOKS RELOAD

BY 3IVERSON